Dwa romanse Walterscottowskie

J. U. Niemcewicza „Jan z Tęczyna“ i F. Bernatowicza „Pojata“.

(Ciąg dalszy).

Wpływ WScotta miał wywołać w romansie polskim całe zbiorowisko typów i postaci, które z załamaniami, z modyfikacyami wywołanemi nietylko życiem ale i lekturą, miały ustawić się w długi szereg, obejmujący także pewne kreacye Sienkiewiczowskie.

Typy i postaci na sposób WScottowski pomyślane, z podobną rolą znamienną, znachodzimy już w „Janie z Tęczyna“ i w „Pojacie“, jakkolwiek w jednej i drugiej powieści galerya tych figur jest niezupełna, przedstawiając album przypominający pierwowzór, ale jakby zdekompletowany.

Najwydatniej w obu powieściach znaczy się rola postaci humorystycznych. Wysuwają się one we wielu partyach romansu na czoło i spełniają swe zadanie, jak u Scotta, bez zarzutu t. j. wnoszą z sobą żywioł wesołości.

Taką postacią w „Janie z Tęczyna“ jest oczywiście Don Alondzo di Medina Czeli. postać Donkiszotowska, do pierwowzoru, jak Hrabia w „Panu Tadeuszu“, bardziej zbliżona, niż takież postaci u Scotta (Bradvardine, Dumbiedikes, Piercie Shafton...). Czyli. zaszedł tu ten proces, co później w „historyi szlacheckiej“: lektura Scotta przywołała na pamięć źródło typu, i wyobraźnia pisarska oplatała się już raczej około źródła, modyfikując typ o tyle, o ile wymagały tego tło epoki i zasadniczo różna tendencya autorska.

U Don Ferdynandesa Juana czynna jest ciągle fantazya, nie dozwalająca mu widzieć rzeczywistości, lecz tę rzeczywistość przetwarzająca — widzi on to, co widzieć pragnie. Więc jeńców tatarskich bierze za Indyan „podobnych zupełnie do tych, których... Pizarro przysłał z Meksyku“, dziwi się, „że i Polska ma possesye swoje w Ameryce“. Tem się jednak różni od rycerza smutnego oblicza, że kiedy tamten Sancho Pansze najczęściej przekonać się nie daje, albo, gdy już nie sposób rzeczywistości przeczyć, zwala wszystko na czary lub zabrania najsurowiej mówić o przygodzie (młyny), Don Alondzo pod wpływem perswazyi ustępuje, acz bardzo niechętnie („wiele podjął pracy Tęczyński, póki go przekonał, że... ludzie, których on brał za Indyanów, byli Tatarzy Mahometanie...“). Że w tem podstawianiu urojeń wyobraźni pod rzeczywistość jest pewna metoda, o tem świadczy zachowanie się Don Alondza w podróży: „brał on żydów naszych za Arabów i byłby się rzucał na nich, gdyby ich bezbronnymi nie widział; na pokazanie atoli niechęci swej przestawał na zdejmowaniu końcem kopii czapek ich lisich, podnoszeniu ich do góry i rzucaniu o ziemię“.

Z bezbronnymi bowiem Don Ferdynandes walczyć nie będzie — zna on rycerską cześć i zawsze zachowuje się jak prawy rycerz. Tylko, że jest przytem nieco śmieszny, a źródłem tych śmieszności właśnie podobieństwo do rycerza lwa. Więc w czasie swej wyprawy z giermkiem przy boku, „zatopiony... w miłosnych swych dumaniach, które nadzieja tylko nabycia wkrótce rycerskiej chwały przerywała niekiedy“, broń Boże nie stawał w gospodach, lecz „zielona murawa nad brzegiem czystego strumienia służyła mu za łoże, za nakrycie dąb rozłożysty“. Przed oczyma ma jak D. Kiszot najprzedniejsze wzory rycerskie, marzy o zbliżeniu się do nich (do Cyda), a na wieść o możności walki, gotów natychmiast, jak jego protoplasta, narazić się choćby na śmierć, ani myśląc o niebezpieczeństwie. Zbytnim pośpiechem wywołuje sprzeciwy współtowarzyszy, a uśmiech na ustach czytelnika.

(Widać słupy dymu i gasnącego pożaru. „Otóż — rzekł jeden z towarzyszów Hiszpana — dzieło Tatarów“. „Gdzież są“? — zawołał Don Alondzo, *w zawód konia swego puszczając*. „Wstrzymaj twój zapęd — zawołał przyjaciel jego — już może są o mil trzydzieści...“).

Oczywiście Don Alondzo kocha także po rycersku, t. j. stara się, jak D. Kiszot, naśladować zakochanych rycerzy. Pod oknami Zofii Tęczyńskiej śpiewa przy blasku księżyca miłosne zaklęcia.

a choć „nie odezwał się głos żaden“, nie daje za wygraną, raz jeszcze powtarza „Przemów, daj widzieć białość twego lica...“. „Nie słysząc odpowiedzi, *stał strapiony kochanek, aż zorze rumienić się zaczęły na niebie* i wtenczas dopiero pełen żalu i smutku odszedł“. Kiedy poznał, że nadziei żadnej żywić nie może, oświadczył, że zostaje mu tylko rozpacz i zgon szlachetny. Postanawia umrzeć. Ale ani słuchający tych wynurzeń Tęczyński ani czytelnik nie biorą tego zbyt tragicznie, choć *„ciężkie wzdychania* nie pozwoliły mu (D. Alondzowi) mówić dłużej“. Rzecz zrozumiała, że jako prawy rycerz musi mieć, gdy wyrusza na „krwawe boje“. szarfę koloru swej ubóstwianej, że przy pożegnaniu ukleka, że „podług starożytnych rycerstwa zwyczajów“ obiera wojewodziankę „za panią myśli“ swoich. Dziwactwa łączą się w nim z szlachetnością, naiwność (jak u D. K.) ze zdolnością do wygłaszania poważnych refleksyi (113), męstwo istotne z czułością serca (116). Czytelnik przywiązuje się do niego, jak przywiązuje się do rycerza smutnego oblicza, do barona Bradvardine, do Piercie Shaftona, jak później do Hrabiego w „Panu Tadeuszu“, do Fulka de Lorche w „Krzyżakach“. W romansie ma Don Alondzo artystycznie to samo znaczenie, co Athelstane w „Ivanhoem“, co eufuista w „The Abbot“, co laird Dumbiedikes w „Heart of Midlot.“, co ostatni z Horeszków w „historyi szlacheckiej“.

Postacią humorystyczną jest również wielki mistrz ceremonii. baron Frogheim, pedant. Typ to, jak wiemy, z tradycyą bogatą. Smollet, Fiedling, Goldsmith nie gardzą nim, Scott obejmuje spadek, ale tworząc kreacye z tego zakresu w kształtach jak gdyby skostniałych, umie także wnieść w pewną przynajmniej grupę tego typu element ożywczy, mianowicie zabarwiając figury schematyczne rysami indywidualnymi.[1]) Pedantem starej marki jest Pembroke. Caxon, Holiday i i., Oldbuck natomiast może uchodzić za przedstawiciela „pedanta odrodzonego“, bo z mnóstwem właściwości osobistych.

Jakiż jest baron Frogheim? Co o nim potrafimy powiedzieć? Jest to przedewszystkiem „piła“, tak straszna. jak znęcający się nad czytelnikiem Holiday. Potrafi on mówić na temat, z kim córka panującego siadać ma do sanek, dostatecznie długo, z powoływaniem się na akta i na dzieje ceremonii wszystkich dworów od Faraona. Królowa jejmość — błaga o to po trzykrotnym coraz niższym ukłonie — musi wybrać sanki koniecznie w jego przyto-

[1]) Porówn. Dibelius. op. c. II. 368.

mności. Gdy się dowiaduje, że poseł polski ma zaślubić Cecylię, mdleje na tę wieść (także uchybienie etykiecie!). Mając odbyć poselstwo, zastrzega sobie przyjęcie: „by już na schodkach lokaje illustrissimi, uszykowani we dwa rzędy, czekali na mnie w przedpokojach jego. W drugim pokoju, by submilior coetus dworskich illustrissimi powstał ze stołków, gdy ja się pokażę...“ i t. d. Potem długo waży, radząc się księgi memorandów swoich, jaki ma przywdziać ubiór. Cóż, gdy stanąwszy przed bramą Tęczyńskiego, zastał tłum dworzan kłaniających mu się nisko, na schodach dragonów, a w pokojach przedniejszych dworzan porywających się z siedzeń — „rozpływała się z radości *ceremonialna* dusza barona“. Tak, w tem określenie istoty Frogheima. Nic nowego nie przyda żółtaczka, na którą zapadł na wieść, iż król Eryk zamyśla poślubić Katarzynę Mans, ani bohaterski czyn, kiedy okryty wilczurą, z poduszką na głowie, wpada między pojedynkujących się, Tęczyńskiego i księcia Krzysztofa, narażając się rzeczywiście, bo naraża się dla — idei. Tej oczywista, którą wyznaje: książę zapomniał o dostojeństwie swojem... Baron Frogheim jest pedantem starego kroju, jest nudnym jak wywar z lukrecyi, drobiazgowym mistrzem ceremonii, mdlejącym, chorzejącym na wieść samą, że etykiecie gdzieś kiedyś uchybiono. I nie jest niczem więcej. Indywidualnego rysu ani jednego w nim.

Czy za przykładem Scotta wprowadził Niemcewicz do romansu również „błazna“, Stańczyka, trudno orzec, skoro pokazać nam postanowił w „Janie z Tęczyna“ wszystkie współczesne postaci wybitne, a Stańczyk chyba do takich należał. Tak czy owak, nie udał on się autorowi. Jego kazania i morały nas nudzą, jego cięte powiedzenia nie wzbudzają w nas podziwu, jego dowcipy nas nie bawią.

Więcej też wesela, niż figura Stańczyka, wnosi do powieści postać — wojewodziny Tęczyńskiej. Jej wyobrażenia ustawione w artystycznem vis-a-vis wyobrażeń Don Alondza są dzięki użytej metodzie przeciwstawień źródłem ciągłej wesołości czytelnika. Wojewodzina jest bowiem wyobrazicielką zdrowego rozsądku i nie może pojąć, co ma za sens wyśpiewywanie po nocy pod czyjemiś oknami wtedy, kiedy powinno się spać („powiedzże mu — mówi do syna — proszę cię, niech poprzestanie tych waryacyj i snu nam nie przerywa“, „przyjeżdża, śpiewa jakieś tam pieśni pod oknami, spać nam nie daje...“), tem mniej może wojewodzina zrozumieć, dlaczego córka jej ma dawać szarfę Don Alondzowi („i cóż znowu za szaleństwo, żeby Zosia moja, już zaręczona, dawała mu

tę niebieską przepaskę, jakgdyby u żydów dostać jej nie mógł...“). Ale tak samo zapatruje się poważna matrona na astrologię męża („gwiazdy twoje, kochanku, nie wiedzą, co bzdurzą...“). Otóż pomysł ustawienia zwierciadła, w którem odbijają się czyjeś dziwactwa, to spadek po Cervantesie. WScott posługiwał się nim czasem. Stosunek miss Gryzeldy do Oldbucka to ten sam typ antitez.[1])

Niewyczerpaną skarbnicą, kopalnią żywiołu humorystycznego są u WScotta tak zwane postaci uboczne i epizodyczne. One to wnoszą nietylko ożywienie, nietylko element charakterystyczny do romansów, ale również zalewają je promieniami najszczerszego, najpogodniejszego wesela.[2]) W „Janie z Tęczyna“ postaci takich jest bardzo niewiele. Najlepsza z nich to zapewne szyper Soroka, choć figura ta z czasami Zygmunta Augusta nie ma istotnie nic wspólnego.[3]) Nawiasem mówiąc, jego żarłoczność po Gamracie i Reju już nam nie imponuje, mimo, że autor ten rys wysunął na czoło i skwapliwie wyliczał menu oryginalnego szlachcica. nawet ilość zrazów i długość kiełbasy, którą się posilił. Naogół udałą, choć bladą postacią uboczną, jest Teodorowa, poczciwa, zabawna przez stałą troskę o żołądek Jasia (jeszcze i wtedy, gdy Tęczyński jedzie do Szwecyi, ona wynosi mu przysmaki). Gdybyż obok tej troski miała wybitniejsze rysy indywidualne, jak dajmy na to Alison Wilson, której również sprawia to rozkosz, gdy Morton zajada nadzwyczajności, przez nią przyrządzone, ale która obok tego jest zabawnie obraźliwa i skąpa i umie dosolić i siostrzeńcowi i wujowi, byłaby... równie jak Alison postacią plastyczną i równie humorystyczną. Z humorem wreszcie, ale zupełnie sporadycznie, traktował Niemcewicz figurę księdza Warszewickiego, jezuity, spowiednika infantki Katarzyny (korzystając z rozpaczy Cecylii po odjeździe Tęczyńskiego. każe jej ks. Warszewicki prędko przysięgać, że przejdzie na wiarę katolicką. 213; zmartwiony jest upadkiem Eryka — sam kreśli straszne sceny przewrotu, mordów — ale „znajduje pociechę“ w tem, że nowy król będzie przychylniejszy zakonowi Jezuitów, 261). Postaci epizodyczne, jak Cikowscy,

---

[1]) Porówn. „My brother“, said Miss Griselda, adressing Lovel, „has a humorous way of expressing himself, Sir; nobody thinks any thing of what Monbarns says — so I beg you will not be so confused for the matter of his nonsense...“ („Ant.“, wyd. lipsk., 1845, s. 48).

[2]) Porówn. PT—WSc 110.

[3]) Borowy, op. c., 97.

Gierałdowscy, Prytwice i jak im na imię, nie wnoszą z sobą nic charakterystycznego. [1])

W „Pojacie“ znakomitą postacią humorystyczną jest Dowojna. Jedna to z najlepszych tego rodzaju figur w naszej literaturze powieściowej. Poznajemy go po raz pierwszy „ze spuszczonym na oczy szyszakiem, w *ponurej* postaci opartego o konia“ przy podziale łupów, strzegącego swej branki, i wówczas kreacya ta po raz pierwszy rysuje się w sposób swoisty, dzięki kontrastowi nastroju u ujarzmiciela i — ujarzmionej. Przejście w gospodzie z tonu wojowniczego w arcyzgodliwy — z konsekwencyami — jest znów wysoce humorystyczne, nie mniej odkrywanie przez Dowojnę w sobie, z całkowitą naiwnością, pierwotnych instynktów (w gościnie u Habdanka, „gdy ujrzał złotolite rzędy i siodła perłami sadzone...“, I. 148). Najczystsze wrażenie humorystyczne wywiera ponury rycerz wówczas, gdy spełnia z bohaterskiem samozaparciem się swej rycerskiej przeszłości żądania Heleny, gdy skarży się, że sroga piękność każe mu „dojść do pewnego stopnia doskonałości“, a potem, gdy „rzuca się“ „do nabywania tej doskonałości“, i wszystkich modlitw uczy się na pamięć, a „choć klął“ po cichu, z pokorą przecie poddaje się wszelkim „rozrządzeniom pięknej swojej mistrzyni“. Typowo humorystyczną postacią jest wtedy, gdy rozpacza, skąd weźmie „tych dusz czystych, niewinnych“, które na żądanie Heleny muszą znajdować się na jej ślubie, jakkolwiek zaręcza, że dostarczy ich „rotami“, gdy potem wyrusza nawracać Litwinów z kosturem w ręce, ale przy pierwszem kazaniu, dostawszy kawałem lodu w głowę, wnet słowo Boże zmienia na kostur i poczyna nim „tak dobrze robić“, że „wkrótce rozprószywszy nierozumną gawiedź, z wszelkiem bezpieczeństwem odwód w łozy uczynił“; gdy wreszcie w mnisim odzieniu jako ojciec Eliasz powstaje na zepsucie i zachęca do życia na puszczy, by ostatecznie pojąć Helenę za żonę, jakkolwiek po wszystkiem, co przeżył, wypiera się nawet znajomości z nią i woła: „odstąp, bo napisano: nie będziesz kusił sprawiedliwego“.

Jest w tej postaci słabe echo figur Donkiszotowskich (Dowojna mógłby się także nazwać rycerzem smutnego oblicza, w wierności pani swego serca — do czasu — nie ustępował kochankowi Dulcinei, acz przygód zaznał znacznie mniej, a wyobraźnia nie kazała mu widzieć w niepowodzeniach wpływu zazdrosnej

---

[1]) Pleban i Lowna na wyspie Hittern to postaci nie uboczne lecz główne — epizodu: sielanki-tragedyi.

mocy czarowników), wszelako źródłem pierwiastka humorystycznego tkwiącego w tej kreacyi jest wewnętrzny konflikt między duszą barbarzyńcy a tym światem, w którym Dowojna się znalazł, do którego musiał się naginać, by zaspokoić szczyt swych pragnień. Czy bierze górę pierwotna natura, nie uznająca więzów, hamulców ani skrupułów, czy — z protestem — konieczność poddania się tym więzom, efekt humorystyczny zawsze zostaje osiągnięty w całej pełni, bo istota efektu polega w tym wypadku właśnie na konflikcie. Ów konflikt raz nabawia rycerza naszego uczuć wstydu, innym razem doprowadza go do rozpaczy, kiedyindziej budzi w nim samym naiwny podziw — zawsze ze skutkiem esto-psychologicznym tym samym. U Scotta są świetne figury humorystyczne (Balafré, Dalgetty, Cudie i t. d. i t. d.), figury tego typu niema. Boć genialnie pomyślana humorystyczna postać „eremity“ Tucka w „Ivanhoem“ to typ inny. Z Dowojną łączy go to chyba, że taki on eremita, jak Dowojna pustelnik,[1]) i że gdy Litwin cytuje „Pismo“ („odstąp, bo napisano: nie będziesz kusił sprawiedliwego“), wstępuje, zdaje się, w ślady „eremity“ (porówn. cytaty łacińskie ostatniego — z przekładem, jak: „ossa eius perfringam— kości ci połamię, jak stoi w Wulgacie“ i t. p.).

Częściowo jako kreacyę humorystyczną pojął Bernatowicz postać księcia Daniela, obdarzając ją pewnymi rysami typu Shaftonowskiego. Wzruszająca swoboda, z jaką książę kłamie, by okryć się pewnego rodzaju urokiem („Czy ją znam? O moja miła! gdzież jest piękna dziewczyna, którejbym nie znał?“), pasuje go na samochwała, śmiesznego jeszcze i tem, że nie obce mu są usiłowania stylowe („znajdując cię najpiękniejszą z dziewic, nietylko śmiało wyznaję i z każdym o to gotów jestem walczyć, lecz chcę tych wdzięków być niewolnikiem, kochać ciebie tylko i jeśli wzajemność...). Postać komiczna staje się humorystyczną wówczas, gdy autor we właściwy sposób ją oświetla.[2])

---

[1]) Porówn. między innemi jego przemowę do rycerza (Ryszarda): „Sir Sluggish Knight, I drink to thee, respecting thy valour much, but deeming wondrous slightly of thy discretion. If thou wilt take equal arms with me, I will give thee, in all friendship and brotherly love, such sufficing penance and complete absolution, that thou shalt not for the next twelve months sin the sin of excess and curiosity“ (XVI.).

[2]) Książę nie chce ponosić konsekwencyi swych występów — nadaremnie. Kiedy Pojata w domu ojca swego daje mu się poznać, okropnie zawstydzony, unikając pożegnania, ze świtem odjeżdża. W niemniej kłopotliwej sytuacyi znalazł się Shafton, gdy Stawart Bolton

Kilka humorystycznych rysów ma Jagiełło — występują one zawsze w tych momentach, kiedy władca Litwy poddaje się władzy Heleny, stając się potulnym i posłusznym.

Z postaci ubocznych, a ściślej mówiąc: epizodycznych, charakterystycznością wraża się w pamięć figura Katry, starej czarownicy, dumnej z tego, że ją trzy razy pławiono w Wiśle, ale prym wiodą kredenserz zakonny Hubek i jego połowica. Ta para to jakby żywcem przeniesiona z któregoś z romansów WScottowskich.

Pan Hubek, „w krótkim białym kaftanie, pękaty człowiek“ zawsze przy dobrym apetycie, nie gardzący dzbanem, rozmowny, towarzyski, jest antitezą swojej żony, niewiasty wysokiego wzrostu, złej jak dyabeł, swarliwej. Autor umie pokazać, że pani Hubekowa trzyma męża pod pantoflem, każe jej, gdy się zwraca do męża, używać wyrażeń dosadnych, nękać go przy pomocy środków niezawodzących — jak to, ona o wszystkiem musi myśleć, ona za niego! („Całe szczęście twoje na tem zależy, żebyś albo sam jadł, albo patrzył, jak drudzy jedzą“, „ty masz zawsze czas na swoje łotrostwa“, „stary próżniaku“ i t. d.). Nie zapomni autor zaznaczyć, że gdy tylko pani Hubekowa weszła do izby, „spostrzegli... podróżni, że przybycie jej nagle popsuło dobrą myśl gospodarza...“. Pan Hubek zaś pokorny jest, posłuszny, cierpi w cichości. Czytelnik widzi to doskonale.

A przypomnijmy sobie scenę w gospodzie w „Kenilworth“ (XI). I tam jest oberżysta, poczciwy, biedny, zahukany, i jego połowica, Alison Crane, „która zniżała się do tego, iż właściciela gospody nazywała swoim mężem“. Kiedy ów w rozmowie z Jackiem wtrąca uwagę, że radby wiedzieć, jak wyglądał dyabeł, którego Jack miał widzieć, pani Crane przerywa mu: „doczekasz się tego pewnego dnia, gdy nie zmienisz swoich manier i nie będziesz dbał o interes i nie porzucisz wiecznego gadania“. Nie dziwimy się też, gdy nieszczęśliwy Crane wyznaje przed gośćmi, iż wolałby, żeby dyabeł zamiast Waylanda porwał był jego żonę. To pobożne życzenie przerywa krzyk pani Crane, wzywającej męża wielkim głosem do kuchni (już znów poszedł na rozmowę!).

Nie można twierdzić, że pan Hubek i pani Hubekowa są kopią pana Crane i pani Crane, ale typ to ten sam i rola jego

---

odsłonił wartość jego przechwałek. Ale, jak powiedziałem, zachodzi tu tylko wspólność pewnych rysów typu, podobieństwo indywidualne bardzo skromne.

w powieści taż sama, co u WScotta. Chodziło tu o pokazanie także ludzi z niższej sfery, o wprowadzenie pierwiastka charakterystycznego, humorystycznego.

Co za szkoda, że tego rodzaju postaci ubocznych Bernatowicz nam poskąpił. Pochłonięty intrygą, zawiązywaniem i rozplątywaniem węzłów osnowy, jakby zapomniał, że jego mistrz kreśleniem obrazów „małego świata“ głównie się odznaczył; czasem przypominał sobie tę prawdę i potrzebę pójścia torem mistrza. Przypomniał sobie, pokazując nam państwo Hubekowstwo, przypomniał sobie jeszcze kilkakrotnie (chodziło przecie o „drugą sferę“), ale nie zawsze z równem powodzeniem. Jeśli rotmistrz Stogniew, zapalczywy, ale ludzki, gościnny, mimo że sylwetka jego tylko przesuwa się przed naszemi oczyma, zajmuje nas jako indywiduum — co prawda nie do „małego świata„ należące — to znacznie mniej cech znamiennych znajdziemy w takiej postaci, jak „stróż niegdyś łaźni książęcej“, Daszuk (II. 160) [1]), a zupełnie bezbarwni są mieszczanie (III. 104), wieśniak (II. 101), tytułujący Pojatę i Aksenę „przezacnemi paniami“, lub chłopak wiejski Rućko. Najzupełniej bladą postacią jest Jawnut. O Ciwunie i Ciwunowej można nie wspomnieć.

Odrębny charakter z pośród figur epizodycznych lub drugoplanowych mają: w „Janie z Tęczyna“ księżniczka Eudoksya Czartoryska, w „Pojacie“ zaś Aksena, rycerskie niewiasty, pierwsza zjawiająca się wśród walki „w zbroi i hełmie, na białym koniu“, druga „na czele trzechset jeźdźca“. To jakby echo Klorynd, Erminii, Kamil, a może i Grażyny. [2])

---

[1]) M. Grabowski bardzo podnosi tę kreacyę, dodając, że „sceny, gdzie wchodzą takie osoby, dają ruch powieści“ i że postaci takich „nie można się dosyć nachwalić“ (II. 36). Zdaje się jednak, że głównie musiała go ująć zewnętrzna charakterystyka „łaziennika“. Nie mniej wysoko stawia Grabowski postać staruszki „roznoszącej listy“, ale i tu bez zastrzeżenia się nie obejdzie. Słyszymy wołanie „Hej! hej! idę z Wilna, Miednik, Bołci, Krewa, dążę do Oszmiany; kto co ma, niech daje, wiernie dostawię. Hej! hej!...“ — i to charakterystyczne, zapewne, ale rozmowy „biegusa“ z Akseną nie ujął B. w dyalog. Scott pozwalał *przemawiać* takim postaciom i tem osiągał nadzwyczajne efekty.

[2]) O typie rycerskiej niewiasty porówn. W. Bruchnalski: Wstęp do Grażyny, w Dziełach A. Mickiewicza, wyd. Tow. lit. im. A. Mickiewicza, Lwów, 1893, T. III. — W „Pojacie“ jest wyraźne echo lektury „Grażyny“, mianowicie dyalog Kiejstuta i Jagiełły na temat łączenia się z Krzyżakami (II., 79).

Z typu „czarnego charakteru“, „intryganta“, typu W. Scottowskiego, choć rodem z tradycyi literackiej, Niemcewicz w swym romansie użytku nie uczynił; Bernatowicz, chętnie posługujący się wszystkimi środkami, które pomódz mogły do utrzymywania wyobraźni i ciekawości czytelnika w ciągłem napięciu do tworzenia sytuacyi, których smutne konsekwencye czytelnik przeziera i tem się trapi, wprowadził aż dwie figury tego rodzaju do swej powieści: Wojdyłę i Jurgę.

Obaj są znów w tem szczęśliwem położeniu, że mogą wywieść swe pochodzenie. Prototypem ich będzie nie Albert Malvoisin, ale przedewszystkiem Varney z „Kenilworth“, sprężyna wszystkiego złego, zły demon swego pana („evil genius“) według własnych słów Scotta, oczerniający — dla osobistych widoków — nieszczęsną Amy przed mężem, umiejący położyć się tamą przeciw pojednaniu tych dwojga, zdolny do użycia niegodziwych środków i haniebnych sposobów działania, słowem typowy intrygant bez krzty sumienia, jak innego rodzaju typowym czarnym charakterem — zausznikiem jest Glossin z „Mannering“. Pod względem podłości ani Wojdyło ani Jurga z tymi dwoma wykwitami łotrostwa mierzyć się nie mogą, ale rola ich odpowiada roli „chytrych doradców“ WScottowskich (Wojdyło szczuje na Kiejstuta Jagiełłę, by osiągnąć rękę Akseny, radzi mu połączyć się z Krzyżakami, nie dopuszcza do księcia posłów Kiejstuta, doradza napad na włości Andrzeja Kiejstutowicza, jak Jurgo znów, „dawny towarzysz oręża i poufalec“ sędziwego stryja Jagiełłowego, judzi swego pana przeciw Jagielle). Obaj pociągają swych chlebodawców za sznurek, a ci tak skaczą, jak tamtym się podoba, ani podejrzewając nikczemnych zauszników o niecne pobudki i cele. Brak zdolności przenikania zamiarów najbliższego otoczenia, bezwłasnowolność „panów“, u Bernatowicza jeszcze mniej prawdopodobna, niż u Scotta.

* * *

KONSTANTY WOJCIECHOWSKI.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Generałowej

Benigny Kazimierzowej Małachowskiej Pamiętniki.

1830—1870.

(Ciąg dalszy).

18-go Sierpnia 1837 r. Dzień urodzin moich, z równem zawsze uczuciem przez dobrego Męża mego obchodzony, zastąpił mi liczne niegdyś grono rodziny, do serca mego cisnącej się. — Jutro rodacy święto moje obchodzić mają; są więc jeszcze pociechy i dla wygnańców na tem świecie.

20-go. W Montigny przygotowywa się wielka feta na 3 b. m. W tym dniu ma się wznieść Montagne de Kościuszko Fête Froues-Polonaise de Polonie sur Loing. Commune de Montigny pres Fontainebleau. Wszyscy Polacy i Polki zaproszeni.

26-go. Mężowi memu naprzykrzył się długi tu pobyt — chciał się przenieść do innego zakładu, w czem mu się nie sprzeciwiałam, bo tam tylko być pragnę, gdzie jemu jest dobrze. Daj Boże, abyśmy znaleźli to dobre! — Tu już wiemy jak nam jest, tu znani od swoich i obcych — wyznaje, że mi przykro i bolesno ruszyć się stąd, ale kiedy taka wola Męża — zgadzam się z nią.

30-go. Od kilku tygodni szukaliśmy po kartach Francyi, przewodnikach podróży po tejże etc. miejsca dogodnego dla siebie. Za radą przyjaciół, a mianowicie Pani Gen. Suchorzewskiej, która z nami przyrzekła zamieszkać razem wybrane miejsce, zwróciliśmy wzrok nasz na Chontilly; tam powiadają nam są ludzie poważni, spokojni, starzy wojskowi etc. — Wszystko to wielkiego powabu

dodało dążeniu do Chontilly, bo nam w położeniu obecnem — pokoju i miłości braterskiej potrzeba. — Przykro jest słyszeć, jak po zakładach brudne i niezgodne życie prowadzą; tem więc więcej zachęca do siebie Chontilly, bo tam powiadają, że wzorowe życie prowadzą nasi i mieszkańcy bardzo lubią Polaków, których znają z dawnych czasów. Decyzya więc padła na Chontilly. Boże, błogosław nam! Od chwili wyjazdu Karola Różyckiego wiele straciło towarzyskie pożycie nasze.

3-go Września 1837 r. Zakazana feta pomnikowa; i dobrze się stało. Ja miałam być tam gospodynią co do przyjęcia Polek — Mąż zaś, jako towarzysz Kościuszki miał mieć mowę. Powiedzieć byłoby wiele i co, ale żyjemy w czasach, że się nie wszystko, co jest dawne, podoba. Trudno jest zgodzić się dziś we trzech na jedno, a cóż dopiero mówić o rzeczach przeszłych wobec kilkuset. A ja na gospodynię także się nie kwalifikuję — przymuszać się, ani udawać nie umiem, a domy paryskie nawykły do grzeczności często obłudnej. Pamięć Kościuszki żyć będzie i przechowa się pewnie do pokoleń naszych, choć mu Pan Zeltner pomnika nie postawi. Tak radam dziś temu, że żandarmy stoją po drogach i lasach i nikogo tam nie puszczają — tak podobno chciał ambasador rosyjski, a Filip król Francuzów pozwolił na to. Podprefekt, któremu tę misyę dopełnić kazano podał się do dymisyi.

15-go. Siostra Teresa nie pisze. Powiadają, że tu już nie powróci. że na zimę w Alzacyi zostanie; ale dlaczegóż nie pisze? co zrobiła, kogo widziała u wód etc. Czyż wszystko już ma być w śmieszność obrócone?

20-go. Ponieważ mnie nikt nie wspiera, nie pomaga w trudnym zawodzie, potrzeba szukać rady u ludzi światłych, którzy znają historyę naszą; wystawili mnie może na wielką śmieszność, kazano mi pisać odezwy, listy do osób nieznajomych etc. Zrażać się jednak niczem nie wypada i robić co można. — Pisałam tedy do Lelewela, posłałam mu akt naszego towarzystwa, odezwy, prosiłam aby je przejrzał, rozwarzył i szczerze powiedział czy się to przyda na co?

19-go Października 1837 r. Zakład tutejszy dał nam obiad na pożegnanie w tej samej oberży, gdzieśmy tyle razy obchodzili święta narodowe i braterskie. — Miło jest odbierać takie jawne dowody przychylności rodakow; smutno jednak bardzo zrobiło mi się pomnąć, czy tam gdzie się udajemy potrafimy zyskać tąż samą przychylność! — Na co się tylko wymowa ludzka zdobyć może, wszystkośmy to słyszeli od braci, których dobrowolnie opuszczamy

Tak mój Mąż chciał, ale ja nie wróżę sobie lepszego pobytu w Chontilly.

20-go. Te pożegnania jakże smutne, jak przykre dla mnie. Lecz nic nie pomoże, choćby serce pękło od żalu; jechać potrzeba i opuścić na zawsze to miejsce, gdzie lat 3 i miesięcy kilka zbiegło jak jedna chwila. Tu bracia, rodacy, umieli cenić zasługę i cnotę Męża, tu Francuzi publiczną mu cześć oddali, bo kiedy pułk 4 huzarów opuszczał to miejsce, muzyka która kilka już razy grała nam polskie patryotyczne śpiewy, przysłaną została zagrać mu na pożegnanie, a następnie cały corpus oficerów przybył pożegnać go i swemu następcy przekazał tęż samą cześć.

21-go. Dzień ten pamiętnym mi będzie. Rzewnie płakałam siadając do powozu, który nas do statku parowego odwiózł. Jakże nie zapłakać, kiedy wszystko płacze; nasza gospodyni tak twarda i nieczuła, dziś się tak rozczuloną pokazała, żem się ledwie z jej objęć wyrwać mogła. Ale to jeszcze nie była ostatnią ta scena. Przybywszy na brzeg Sekwany, do statku parowego, tam jeszcze znaleźliśmy cały nasz miły zakład, któren tak boleśnie opuszczaliśmy. Jeszcze więc jedno pożegnanie, jeszcze nie jedna łza. Odpłynął nakoniec statek i wszystko znikło, prócz pamięci.

23-go. W chaosie paryskim niedobrze jest człowiekowi smutnemu. Dziś nasz przyjaciel fontaineblowski dał nam obiad u Vefoura; chciał okazać przychylność swoją: szukał najsławniejszego restauratora i najlepszych potraw. Męża to wielce ambarasowało i łajał mnie, żem to przyjęła. Możnaż było odmówić temu, kto z tak dobrego serca ofiaruje. Każde nieukontentowanie Męża kosztuje mnie wiele zgryzoty; zamiast więc zabawy — płakałam dziś rzewnie.

24-go. Tak bym już rada wydobyć się z tego Paryża: te czcze, suche, a może często fałszywe grzeczności znudziły mnie wielce.

25-go. Przecie jutro wyjeżdżamy. Chwała Bogu! Nie wiem jak tu żyć mogą nasi, a szczególnie Panie. To męka prawdziwa ten Paryż, i za złe nam biorą jeszcze, że tu nie zamieszkamy.

26-go. Otóż znowu pożegnania, odprowadziny etc. Ruszył dyliżans i oto na drodze do Chontilly. Jak tam będzie i co będzie nic mnie to już nie obchodzi — dobrze wszędzie być musi i powinno. — Powiadają, że beczkę soli zjeść potrzeba, nim się przyjaciela pozna; myślę, że tak długo nie zostaniem w Chontilly. Przebywszy góry, lasy, wsie i pola, w noc zapadłą stanęliśmy na miejscu nowego naszego pobytu. Nikomu nie znani, przez nikogo

nie przyjęci — sami się rozgościliśmy w domu zajezdnym. Co jeść będziemy — pierwszem było pytaniem; aby więc nie popsuć humoru kazaliśmy dać obiad na dwie osoby, stancyę opalić etc. Był to pierwszy krok, którym sobie zobowiązaliśmy gospodarstwa. jedliśmy razem z nimi i nieledwie całej historyi Chontilly dowiedzieliśmy się w ciągu naszego obiadu. — Po obiedzie spytałam czy znają Polaków; a że najlepiej znano pana Plagowskiego — prosiliśmy, aby posłano do niego, czy nie zechce nas widzieć. — Pobiegł natychmiast chłopczyna, lecz go nie zastał; nie było co lepszego robić, jak iść spać.

27-go. Wstawszy rano, obejrzałam ze wszystkich okien co się dzieje na ulicy; prócz jednego człowieka, któren stawiał krowy do targu żadnego innego ruchu nie było. — Naprzeciwko okien stał domek skromny, ale schludny; zgodziliśmy się z Mężem, że gdyby w nim było co do najęcia, to by go zamieszkać można. Napiwszy się kawy udałam się do tegoż domu i znalazłam mieszkanie, jakiego nam potrzeba było — maleńkie, ale czyste. Tego samego dnia przenieśliśmy się na drugie piętro, czekając aż 1 urządzą dla nas. Mąż, tymczasem odwiedził swoich i oni nas nawzajem.

28-go. Nie chcę być porywczą w sądzeniu ani o miejscu, ani o ludziach. Zostawiam sobie miesiąc czasu, abym się przypatrzyła pierwszemu i drugim. A tymczasem zajmę się rozgospodarowaniem, poznaniem się z nowymi kątami.

30-go. Wielkie dla mnie szczęście, że tyle mam zatrudnienia domowego, bo smutno jest, kiedy się przybędzie między ludzi nieznanych. szczególnie cudzoziemcom, których muszą ocenić wpierw podług swego wyobrażenia.

1-go Listopada 1837 r. Błąkały się listy po Francyi zanim do Chontilly trafiły; oddano mi ich za to kilka. Dwa szczególnie intererujące; w pierwszym powitanie nas na nowym siedlisku od braci fontaineblowskich. ich tęsknota po nas, w żywych oddana kolorach; a drugi od Lelewela, którego osnowa taka:

To co mi raczysz, Pani moja, w zaufaniu komunikować, jest mi, przypadkiem wiadome, a wiadomość o waszych trudach, gdy mnie doszła, napełniła mnie rzewnem uczuciem. Dawniej staraliśmy się budzić w naszych rodaczkach tę myśl, którąście Wy powzięły. Wzywaliśmy, wołaliśmy, obligowaliśmy na miejscu i bądź żeśmy źle trafili, bądź nietrafnie kroki czynili; wszystko było bezskuteczne. Wszakże pomimo naszych wzywań zawiązywało się nieco siostr w stowarzyszenia, które ile wiemy niedaleko zaszły, tak co do celu, jak. co do trwałości i skutku. Zdaje się jednak, że po-

dobno w celach skrzywionych, mniej trafnych, są między rodaczkami naszemi damy, wcale czynne. Ta ich czynność sprawiała nam nieraz frasunek, kiedy, niespodziewanie, doszła nas z kraju wiadomość, że Wasza, Szanowne Polki, myśl krzewi się i wznosi. Troszczysz się o skutek, niewiedząc, jak piszesz, czy Wasze dzieło, Wasz głos, do miejsca przeznaczenia doszły. Doszły, czcigodna Polko, doszły. Pisaliśmy do naszych przyjaciół (do Kowalskiego), aby wspierali i czuwali, iżby, opacznie Waszewu życzeniu, zwrócone nie było. Mam nadzieję, że prędzej czy później troskliwości swojej pociechę mieć będziesz, etc.

Odezwy, któreś mi komunikować raczyła, są prostym i trafnym wyrazem wzniosłych pojęć, które od każdej siostry, Ojczyźnie swej i narodowi życzliwej, zrozumiane będą. Zapewne zechcesz Pani moja ponawiać podobne Wasze zgłoszenia się, są potrzebne, a tem potrzebniejsze się staną, im więcej liczba połączonych w braterstwo sióstr wzrastać będzie etc. etc. — Joachim Lelewel.

2-go. Uradowałam się niewymownym sposobem z tego listu: przekopiowałam go i posłałam Siostrze Teresie, która, jak powiadają, powróciwszy od wód z Ems, osiadła w Alzacyi i tu już do nas nie powróci. Tak skwapliwie oczekiwałam listu od niej; niepojmuję tego milczenia — może też teraz napisze wszystko.

14-go. Przyjętą została Pani Januszewiczowa z córką.

30-go. Nie wszystkie jednakowo uważamy rzeczy. Jam się tyle ucieszyła listem Lelewela, a tam, gdzie posłałam kopię, bardzo mnie za to wyłajali. Nic sami przecież lepszego nie zrobili. Nadzieje z bytności siostry S. w Ems są żadne; pisze, że przyjęła jakąś Elwirę, ale ani jej przysięgi, ani słowa na piśmie o tem niema, a zatem i do księgi podług praw naszych, wciągniętą być nie mogła.

26 go Grudnia 1837 r. Przedłużyłam sobie czas o drugie tyle, aby coś powiedzieć o Chontilly i jej mieszkańcach. Przybywszy tu, tak jak na każdem nowem miejscu, przykro i tęskno po tem, cośmy opuścili byli. lecz gdzie zatrudnienia w domu nie zabraknie, tam się nigdy nudów nie doznaje. — Nadto zaczęłam bardzo interesującą robotę na kanwie — alegoryę przyszłości naszej. która mnie wielce zajmuje, do której przededniem wstaję i późno w noc się kładę. Chontilly jest śliczne miejsce, stosowne do położenia naszego, bo prócz pięknej natury, lasów i gajów. które nadchodząca zima w martwe zamienia, nic światowego nie razi nieusposobionej do tego duszy. Można tu myśleć, dumać, płakać, gdy serce żalem się przepełni; nikt i nic pewnie nie przerwie.

I to warte już wiele, bo przykro jest przymuszać się do wesołości, kiedy co dolega, a jeszcze przykrzej, być często przymuszonym. niezgodne z myślą i czuciem wyrzec słowa. Otóż dwa miesiące ubiegły w milczeniu prawie — i dobrze nam z tem. Niewiem od czego mam zacząć, czy od opisania miejsca, czy ludzi. O ludziach najmniej mówić należy wtenczas, kiedy wiele dobrego powiedzieć o nich nie można. a więc zacznę od opisania Chontilly. — Dużo tu pamiątek dawnych kondeuszowskich czasów, a lubo miejsce to zniszczone było w czasach rewolucyi — dziś starannie utrzymywane i do dobrego stanu doprowadzone, świadczy, że było kiedyś mieszkaniem możnych i lubiących zabawy. Szczątki pałacu przypominają nasze Łazienki, lecz tam natura milszą go uczyniła. Tu wody dużo sztucznej, sprowadzonej, często zatęchłej. Ogród ładny, przyzdobiony rozrzuconymi posągami i różnego rodzaju budowami i widokami — czysto bardzo utrzymany. Parków wiele — także z nakładem utrzymywane. Jest gdzie chodzić, lecz wszędzie pusto. Między parkiem a ogrodem leży tak nazwane Hameau — wioska imitowana, którą Pani Seulis w swoim romansie wspomina pod tytułem: „Comtesse de Clermont". Lasów dużo, po których spacery miłe. Sławna tu jest stajnia; budowa wspaniała, wielka — warta widzenia. Peloza, na której bywają tu korsa także jest piękna równina zielona. Francuzi mówią i podobno mają racyę, że Chontilly est le plus lien de la nature; il offre à la fois tout ce qu'une ome sensible peut aimer de champêtre et de solitaire. Na początku 12 wieku Comte de Guy de Seulis miał to w posiadaniu, a na początku zaś 15 wieku familia ta zaginęła; w tej epoce przeszła na własność Piotra d' Orgemont kanclerza państwa. za panowania Karola VI. Na końcu tego wieku już przeszła na własność Jana de Montmorency. Pałac ten był zbudowany za Ludwika XIII., w roku 1633, który nadał tę własność księżnie Kondeuszowej, siostrze ostatniego z Montmorencych ściętego w Tuluzie — i od tej epoki była własnością Kondeuszów, a od lat kilku. syn Filipa. króla francuskiego jest dziedzicem: a że małoletni jeszcze, jest więc pod zarządem matki. Mieszkańcy wogóle są tu przychylni Polakom, bo im miłą pamięć zostawiła gwardya polska, z czasów Napoleona, która tu miała swój garnizon; ładnych, bogatych i dobrze wychowanych chłopców wspominają tu bardzo mile. — Domek, w którym mieszkamy bardzo przyjemny; gospodyni skromna i łagodna, dużo przywiązała się do n . W początkach duszno nam tu było, po pięknych, obszernych salonach fontaineblowskich, lecz przyzwyczailiśmy się i do tego jak jest dziś. — Życie drogie. ale

ograniczamy się; żyć tanio i tu można. O najważniejszej rzeczy przychodzi mi mówić na ostatku; zaczęłabym pewnie od niej, gdyby mi nie tyle bolesną była. Niewielka nas tu, braci, jest liczba, ale nie wróżę sobie dobrej, pomiędzy nami, harmonii. — Co do nas, jechaliśmy tu z najlepszą intencyą; chcemy i pragniemy zasłużyć sobie jeżeli nie zupełnie na taką, to przynajmniej podobną fontaineblowskiej harmonii i przychylności bratniej. Lecz tu zupełnie co innego. 5-ciu tylko jest tu naszych; 4-ech poważnych, dojrzałych ludzi, ale fanatyków niesłychanych tak nazwanej partyi Dwernickiego; chcą, abyśmy potakiwali ich urojeniu, żebyśmy potępiali tak jak oni broszurkę Karola Różyckiego i temuż przyznali: podłość, złość i fałsz. — A to żadnym sposobem być nie może; obelgi rzucanej na niego, w obecności naszej, dopuścić trudno — potakiwać fałszywie niepodobna, a więc prawdę mówiąc obrażamy; tak stare przysłowie niesie, że kiedy wejdziesz pomiędzy wrony, to kracz jak i ony. Lecz w tym przypadku nie daje się przysłowie to zastosować. Bo lubo szanujemy Pana D.[1]), nie możemy mu przyznać tak, jak Ci panowie chcą, że on tylko jeden, co się okrył chwałą i że on tylko jeden zasługuje na wziętość publiczną etc. etc. Koniecznie chcą wmówić w cały świat, że Ro:[2]) pożyczył tylko swego imienia do tej broszurki, a kiedy Mąż mój powiedział, że się pod naszem okiem pisała, żeśmy ją wpierw jeszcze czytali zanim na świat wyszła — ztąd więc żale i gniewy, że Mąż nie wyperswadował. Czas to, zapewnie, ułagodzi wszystko i rodacy nasi uprzedzenie swoje zamienią na zdanie więcej rozsądne; bo co zrobił Pan D. dobrego, to my i cały naród odda mu sprawiedliwość. Każden to przyzna, że zaczął chlubnie — ale także i każden zapyta się jak skończył? A co jeszcze zrobić może, to dopiero czas okaże. Dopomóż mu, Boze, aby zrobił jak najwięcej i oby mu się tak dobra zręczność,· jak była pod Stoczkiem, jeszcze raz nastręczyła. Może, po doświadczeniu dzisiejszem skończyłby tak, jak zaczął: po bohatersku, a na ten czas już byśmy, nakoniec, i wszyscy tą nieszczęsną broszurę potępili. — Ale ja zboczyłam od materyi. Jest tu pieciu rodaków, chciałam powiedzieć — jeden chory, świat go nie widzi — dwóch zajętych dawaniem lekcyi, czwarty zajęty całym światem — piąty, dobry człowiek i żołnierz; nieszczęście, że jest pod wpływem i niejako zobowiązany myśleć i robić to, co i drudzy. Ten ostatni często nas odwiedza i jeśli go klątwa jaka

[1]) Generała Dwernickiego.
[2]) Różycki Karol.

nie zraża. to zdaje się, że dom nasz dosyć mu miły. Mało bardzo mówiący; Mąż go lubi, bo moralny i skromny. Nie wiele znajdzie zabawy w domu naszym — ja zajęta moją robotą — Mąż dawne dzieje opowiada — i tak nam dzień za dniem schodzi.

1-go Stycznia 1838 r. Ceremonialne powinszowania nowego roku przecie się skończyły. Po co się troszczyć; czyż nie wystarczym sami sobie?!

6-go. Ukończyłam robotę moją, która mnie tak mile zajęła parę miesięcy. Przeznaczam ją dla prowincyi Wołynia i Podola, jeżeli się kto odważy przewieść ją. Zrobią co zechcą z tem, jam ją w tej myśli wyszyła. Jest to alegorya przyszłości naszej, bodaj kiedy dokonana.

7-go. Jadę do Paryża z uciśnionem sercem, bo zostawiam ukochanego mi Męża, samego w 4-ch pustych kątach. Jest zdrów, spokojny, wesół. Bogu go polecam na tę krótką chwilę naszego rozłączenia.

8-go. Dziś wśród licznego zgromadzenia przyjacioł naszych oddano mi wieczorem list od Męża. Czułe i miłe wyrażenia się jego rozjaśniły twarz moją; uważali to wszyscy i razem ze mną ucieszyli się. Skończywszy ten miły peryod, czytam: „chciano mnie poróżnić z Karolem; przyniesiono mi list zwinięty w trąbkę, w którym proszono. abym odczytał kilka słów. Pan Pla. go mi przyniósł i oświadczył, że to było wolą wszystkich. aby mnie przekonać jakiego mam przyjaciela w Karolu etc. Bądź spokojna, ja temu wszystkiemu nie wierzę; smutno jest tylko, że pomiędzy swymi tyle się jeszcze znajduje niechęci“. — Zbladłam, czytając te słowa i ukryć wzruszenia mego nie mogłam — wszyscy pytali o przyczynę, którą ja, dla naszych przyjaciół, ukrytą mieć nie chciałam. Dałam list odczytać Karolowi.

9-go. Na drugi dzień spiesznie do Chontilly powróciłam, cierpiąc wiele nad tem, że człowiek, którego rodacy powinni byli otoczyć swoją przychylnością i zostawić od wszelkich udręczeń rozmyślnie i dobrowolnie trują spokojność jego. Przysięgłam, że ani na chwilę nie oddalą się od niego. Lecz jakże zdziwioną byłam, zastawszy go wesołego i żartującego sobie z tej przygody.

10-go. Pozostało nam, na drugi dzień, uspokoić Karola, którego w śmiertelnych troskach z tego powodu odjechałam. Napisaliśmy oboje do niego, prosząc, aby tak niezważał na to, jak i my. Zdarzenie to, jako też i inne okoliczności, wypływające z jednego źródła, pozbawiły nas przyjemności, że nas tak często. jakbyśmy sobie życzyli, odwiedzać nasi przyjaciele nie będą.

24-go. Dziś mój drogi Mąż 74 rok zaczyna. Boże, udziel mu zdrowia, a wszystko inne cierpliwie i z wytrwałością znosić będę i nigdy skarga na los przeciwny z ust moich nie wyjdzie. — Na pamiątkę tego uroczystego dnia dla mnie, posłałam, pod tą datą, odezwę do rodaczek naszych do kraju. Czy osoby, które się tego przewiezienia podejmują dokonają tego jak przyrzekły, tego ja nie jestem pewną; próbować jednak wszystkiego potrzeba i niczem się nie zrażać. — Odezwa ta w następujących była słowach:

Rodaczki! Na obcej ziemi lat nam 7 ubiegło szybko. Lubo nam tęskno, przykro za rodzinną ziemią, za Wami, przeżyliśmy jednak tą smutną epokę życia, w nadzieji i przekonaniu, że przyjdzie błoga chwila, która koniec powszechnej niedoli naznaczy. Jeśli ta chwila daleką jest jeszcze dla nas, nie wszystkie, zapewnie, doczekamy tego dnia radości, bo czas moc swą nad wszystkiem wywiera, bo moralna gorączka nas trawi, bo obca ziemia żywi i nie ojczystym oddychamy powietrzem. — Cokolwiek jednak Bóg dla nas przeznaczy, święcie, z wiarą i nadzieją i całem uczuciem miłości Ojczyzny dotrwamy do końca. Wierne naszemu nieszczęściu, ta nas myśl ożywia i cieszy, że Wy, Rodaczki, tymże samem uczuciem przejęte, westchnienie dla pamięci naszej i ten sam święty ogień, któren my tu w sercach naszych Ojców, mężów, braci, przyjaciół i dziatek przechowujemy jak zarodek narodowej chwały i życia — Wy go zatlicie tam. w sercach, do których on jeszcze nie doszedł i powszechnym uczynicie. — Błagamy Was siostry — wytrwajcie w tych usiłowaniach. Pokażmy światu, że nie jest straszny dla nas tyran północy w ten czas, kiedy w imieniu praw człowieka, ludzkości i moralności przemawiamy do tych, którzy jeszcze nie pojęli, albo zrozumieć niechcą głosu prawdy i potrzeby.

3-go Maja 1838 r. Dużo czasu ubiegło jak do mego dzienniczka nie zajrzałam, słowa jednego nie zapisałam, bo też wielce zajętą byłam. Kilka miesięcy czasu pilnej roboty na kanwie zaledwie mi wystarczyło na dokonanie obrazu alegorycznego przyszłości naszej. — Nie jest to mistrzowskie dzieło: prosta, niewymuszona myśl, ale od każdego dobrego Polaka zrozumianą być może; tem milszą i interesowniejszą do wykonania stała się dla mnie, że deseń ten układał Mąż mój. Myśl jest taka: na ruinach i grobach, zebrany tłum ludzi, szlachty i rolników — wszyscy uzbrojeni w prowincyonalnych ubiorach. Panowie urzędownie — przed notaryuszem — nadają wolność swym poddanym, z kondycyą walczenia o wolność. Wszyscy przysięgają, wskazując na graniczne słupy; które jeszcze widać, że je zniszczyć potrzeba i tam spieszą.

Młodzież nasza pełna życia i nadziei z zapaloną pochodnią śpieszy ku tej stronie uzbrojona. W oddaleniu widać kobietę, która swemu narzeczonemu pokazuje, że pierwszą jest powinnością dopełnienie obowiązków względem kraju, a potem serce i ręka moja dla Ciebie. Za tą grupą widać sędziwego starca, rolnika, ze złożonemi, wznoszącemi rękoma, ślącego gorące modły do nieba, że mu dało doczekać tej chwili. — O, była też miła, zachwycająca dla mnie robota. Każdego dnia — jutrzenka zastała mnie już przy niej. W tym przeciągu czasu przybyło wiele osób tu na mieszkanie: Państwo Żarscy, Chełmicki, Zwierkowski. Dla szczęścia i pokoju domowego my sobie wystarczym, z Mężem; miło, kiedy kto dom nasz nawiedzi, ale bardzo niemiłe te nieukontentowania, pretensye, a może i plotki. O broszurkę zawsze wielkie kwasy, a to trudno, aby dla dziwacznych urojeń, potakiwać fałszywym rzeczom. Dziś, pierwszy raz wybiegłam do parku; śliczny był poranek — ucieszyć się nie mogłam z tą zielonością, rosą, kwiatami. Przebiegłam wiele ulic — żywej nie spotkałam duszy i radam temu była. Słowiki śpiewały nie tak mile jak zawsze, ale śpiewały i ja sobie też zanuciłam: „Trzeci Maj — Boże daj!“ —

20-go. Kursa Chontillskie dużo osób z Paryża sprowadziły. Gdyby to z naszych ukraińskich stepów biegały konie, chętnie i z przyjemnością przypatrywałabym się im. Byliśmy zaproszeni do okna, na te kursa, do Posła Zwierkowskiego, którен nam gościnność polską przypomniał.

21-go. Dowiedziałam się, że Pani Bielska, wróciła z Warszawy. Pewna, że mi wiele rzeczy stamtąd przywozi udałam się natychmiast do niej, lecz jakież było zadziwienie moje, dowiedziawszy się, że ani litery jednej nieprzywiozła mi. A to wszystko, co powtarza o Warszawie, o familiach, rządzie etc., boleścią tylko przejęło serce moje. O, drogo przypłaciłam ciekawość moją.

30-go. Niepotrzebnie troszczyłam się opowiadaniem Pani B.: osoba ta zimna na wszystko, trwożliwa, zajęta osobistym interesem, za którym pojechała, nie mogła napotykać tam, jak ludzi, których materyalny interes wszystkiem, a sprawa narodowa zupełnie obcą. Dobroduszna, co słyszała od nich — to powtarza; tak tam źle nie jest — mamy pewną wiadomość. Tli tam ogień miłości Ojczyzny nawet w tych sercach, które nam obojętne się zdają.

22-go Lipca 1838 r. Mąż dziś odjeżdżał do Paryża na kilka godzin z Pułk. Różyckim. Odprowadziłam ich do dyliżansu; żegnając Męża, który był już wsiadł, ogromny wór, napakowany kwiatem lipowym spadł z góry na moją głowę, z taką siłą, że grzebień

utkwił z tyłu głowy. Przelękniony, biedny Mąż wyskoczył z dyliżansu; nie chciał już jechać — ale ja w moment z przestrachu i odurzenia przyszłam do siebie, zapewniłam go, że mi nic nie jest. Odjechał, bo niewiedział, że ja mam ranę w głowie, która, dzięki Bogu, nie miała złych skutków.

19-go Sierpnia 1838 r. Mąż mi czule powinszował i dosyć już by mi było tego. Później śliczny bukiet znalazłam przy drzwiach moich. Kto tu wie, że ja lubię kwiaty? i kto tyle chciał być grzecznym; napróżno łamię sobie głowę. Zawsze to miła rzecz dla mnie. W wieczór nasi przyjaciele fontaineblowscy przybyli; mnóstwo listów — wszystko to wdzięczne serce moje z czułością przyjęło.

20-go Listopada 1838 r. Pytam się rano siebie dlaczego tyle czasu ubiegło. a jam do mego dzienniczka nic nie zapisała. Jest przyczyna, którą łatwo zrozumieć; powtarzać komeraże i plotki — nie są godne pisma tego — miło jest kiedy się co nastręczy powiedzieć korzystnego o drugich — obowiązkiem zaś jest nie mówić źle o ludziach, którzy sami nie wiedzą co czynią. Jedyny i najlepszy środek byłby porzucić Chontilly, ale obowiązek chrześcijański i braterstwa niepozwala. Familia Żar. przybyła tu dla tego, żeby być z nami; Pułk. Żarski godny człowiek i Polak, na łożu boleści, blizki zgonu. Położenie żony bolesne w takim razie. niepodobna więc opuścić ich — nieść, i owszem, pociechę i pomoc, jeżeli można, nie zważając na przykrość, jaką się w nagrodę za to odbiera. Ewangelia tak uczy: że kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem.

29-go. Święto narodowe; obchodziliśmy go w gronie małem, ale uroczyście. Dziś rozpoczęłam wielką robotę na kanwie! Mąż wypracował deseń, kopiował go i na kratkowany papier przeniósł — jest to porwanie dzieci na placu, pod kolumną Zygmunta. Nie wiem czy zdołam wyrobić to dobrze, ale to wiem, że będę chciała.

3-go Grudnia 1838 r. Codzień odwiedzamy chorego! jakże to smutny widok dla mnie. O, Boże, Boże, zachowaj mnie od tak ciężkiej zgryzoty.

30-go. Zakończył cierpienia swoje biedny Żarski. Oddaliśmy mu ostatnią usługę; pozostaje jeszcze obowiązek cieszyć jego wdowę i zostać tu z nią, dopóki na rodzinną nie wróci ziemię.

1-go Stycznia 1839 r. Zaczynamy rok nowy zawsze w nadziei, że ten pomyślniejszym dla nas będzie.

3-go. Zrobiłyśmy urzędowe zapytanie sióstr, dlaczego żądały utrzymania kontroli, a później żadna niezdała sprawy ze swych

czynności, ani się z żadnym projektem nie zgłosiła. Zostawiono miesiąc czasu do odpowiedzi. Zobaczymy?

29-go. Przystąpiły do związku Febronia Tyszkiewiczowa i Michalina Moszyńska.

1-go Lutego 1839 r. Pokazuje się z odpowiedzi sióstr, że niewiele mają chęci kontynuowania dalej obowiązków, które były tak skwapliwie przyjęły. Niepowtarzam tu niektórych odpowiedzi — smutno było dla mnie czytać je. Powiem tylko, że główne naczelniczki w śmieszność zamieniły rzecz, którą należało szanować. To prawda, że w obecnym stanie rzeczy nic się zrobić nie da. wszakże odrzuciwszy wszelkie formy ustawy związku. można na tej samej drodze pozostać i w każdym swojem czynie, słowie, piśmie, myśli objawiać ciągle zasady moralności, ludzkości i narodowości. Taką myślą i poświęceniem się nikogo skompromitować nie można. Od dzisiejszej daty ustaje kontrola; niema już kuratora, niema żadnej opieki ani wsparcia dla tak nazwanego Towarzystwa ziemianek; dalsze przyjmowanie sióstr niema już miejsca. Związek ten nie jest rozwiązanym i być nigdy nie może; te które raz wykonały świętą przysięgę dotrwać powinne do końca — do ich woli pozostaje uważać siebie i działać jak im się podoba nadal; późniejsza potomność osądzi chęci i czynności nasze. Każda więc z sióstr naszych, których lista niżej, podług swego przekonania i woli postępować będzie. Mnie Bóg na pociechę zesłał anioła; w miesiącu sierpniu z. r. wskazaną mi została przez patryotów, Marya B.*). Ta kobieta przechodzi uczuciem i poświęceniem się wszystko; jej pismo dokładnie przedstawia stan rzeczy. Niczem nie ustraszona, lękać się często daje o siebie. Ona będzie celem naszem nadal i pewnie nic do kieszeni nie schowa, ani na ogień nie rzuci. Lista sióstr, tym porządkiem jak przystępowały do związku: 1. Teresa Suchorzewska, 2. Konstancya Wielogłowska, 3. Benigna Małachowska, 4. Antonina Ordężyna, 5. Konstancya Tomaszewska, 6. Julia Sarnecka, 7. (?), 8. Emilia Szczaniecka, 9. Anna Zienkowiczowa, 10. Aleksandra Januszewiczowa, 11. Julia Januszewiczówna, 12. Julianna Dunin, 13. Elwira. niewiadomego nazwiska, podana przez siostrę Suchorzewską, 14. Julia Białkowska, 15. Józefa Dmochowska, 16. Marya Bolewska, 17. Febronia Tyszkiewiczowa. 18. Michalina Moszyńska. Są to tylko te siostry, tu wymienione, które do kontroli przy mnie będącej przez czas trzyletniego swego trwania weszły. Czy zrobiło też towarzystwo postęp

[1]) Bolewska.

jaki w kraju, na to żadnego nie mamy dotąd dowodu. Mówiono nam, że się przyjęło i krzewiło.

4-go Marca 1839 r. Imieniny Męża; dzień ten zawsze uroczysty dla mnie; nic mu blasku ani dodać, ani ująć nie może. Przyjaciele fontaineblowscy nie przepomnieli o dniu tym.

23-go Kwietnia 1839 r. Od chwili wstąpienia w post wielki, przygotowywano, gadano o wielkiem święconem dać się mającem w pewnym domu. Biegano, szukano, pożyczano naczyń etc. etc. Co to będzie? pytali się Francuzi. To będzie, odpowiadano, zjazd wielki, goście będą z Londynu, Paryża i wielu innych prowincyi. Co będzie, jak będzie i dlaczego to będzie dokładnie mieli to sobie opowiadane, przez osobę, trudniącą się urządzeniem tych świąt. W połowie postu zaprosiny dokonane zostały, a że my nie byliśmy w tej liczbie, wypadało tedy pomyśleć o sobie. Nasoloną, uprawioną została szynka, ozory, upiekły się ciasta i przygotowało wszystko na co się zdobyć można było i co w zwyczaju krajowym, powszechnym było; wszystko to własną urządzone ręką, żadnego odgłosu po mieście nie puściło. Nie zapraszaliśmy nikogo, wiedząc, że narodowym zwyczajem przyjdą bracia nasi powinszować świąt — i przyjdą, zapewnie, przed wielkiem święconem, któremu godzina 1 przeznaczoną była. Gdy już w wielką sobotę wszystko u mnie skończone było, poszłam zobaczyć jak się powiodło u Pani Z.; tam rozpoczynało się dopiero ważne dzieło pieczenia bab. Młody, silny Julek, zapasany fartuchem, ubrany w czepeczek Pani Z. wybijał ciasto. Pani i Panna Z. biegały, znosiły rozmaite zaprawy, Trzy kobiety najęte kręciły się także. Nadszedł też i wieczór — gadano, że dyliżanse całe gośćmi zaproszonymi będą zapełnione; nieszczęście chciało, że baby nie tak dobrze, jak się spodziewano, wyrosły — gości ledwie część jedna przybyła. Na drugi dzień, wysłuchawszy mszy świętej, przygotowałam, tak nazwane, święcone; przyjdzie kto, mówiliśmy sobie z Mężem, to może skosztuje — i przyszli wszyscy prawie. Z wielkiem ukontentowaniem i zadziwieniem naszem jedli i pili smaczno — wszystko wyborne znaleźli. Im ochoty, a nam serca szczerego, polskiego nie zabrakło — i godzina 1 chybiona została i jeść i pić na drugiem święconem nie mogli. Cała wina i nieukontentowanie spadły na karb nasz; zdawało się temu państwu, żeśmy to na przekorę, umyślnie zrobili, a to przecie samo, z dobrej woli tak się złożyło.

12-go Maja 1839 r. Dziś moją robotę ukończyłam; 6 miesięcy miłego zajęcia zbiegło mi nad tem. Od świtu do nocy u moich krosienek — cała myśl wcielona była w moje dzieło — i dobrze

kiedy człowiek potrafi się tak zająć, że o swoich przykrościach nie myśli. Ja spostrzegłam dopiero teraz, że się zbyt tą robotą zajęłam. Ale jakże się oderwać od rzeczy, która tyle interesuje. Treść tego obrazu jest następująca — na bardzo cienkiej kanwie włóczkami półściegiem wyszyta; Na placu przed posągiem Zygmunta tłumy wojska, dziatek i rozpaczających matek; padają biedne, płaczące dzieci do kibitek; matki zabijają siebie i swe dzieci, z rozpaczy, aby się nie dostały w ręce tyranów; wogóle obraz ten przedstawia rozpacz matek w kolorach zbyt rozrzewniających. Sami oprawcy przerażeni są tem, co czynią. Kiedym ja wyszyć to mogła, to mam nadzieję, że późniejsza potomność nasza pomści krzywdy uciśnionego ludu i ten żywy obraz krzywd, krajowi wyrządzonych, w sercach swych przechowa.

30-go. Potrzeba, nakoniec, opowiedzieć o pobycie naszym w Chontilly. Najrozsądniej byłoby wszystko zamilczyć — ale od czego byłby dziennik? Nie każden, wprawdzie, dzień tu zapisuję, bo w życiu tak prywatnem, jednostajnem niewiele napotkać można rzeczy. które by tu powtórzyć się dały dla swojej wartości; jednak dla pokazania, co to jest serce ludzkie potrzeba coś choć z przykrością powiedzieć... Szukając pociechy i pokoju wleźliśmy, czyli do nas przybyły, jak plaga jaka, plotki, komeraże i nieskończone dziwactwa. Doskonale się to wszystko wyrabia u ludzi, którzy, w braku szlachetniejszych uczuć, tem się trudnią. Na tym warsztacie, z pomocą niektórych paryskich pomocników i pomocniczek, wyrabiają się płody, godne ich twórców; powtarzać tych wszystkich rzeczy — niepodobna. W początkach przykro nam było to bardzo, ale z czasem człek przywyknie do wszystkiego. Pragnęliśmy z duszy żyć w zgodzie i pokoju — podzielać zdań nie można było — odsunięto się od nas i bardzo nam z tem dobrze. Jeden tylko z braci, któren się zrazić nie może usilnem dążeniem swych kolegów, którzy nawet użyli kłamstwa, aby go w swoją pociągnąć stronę; żałujemy go bardzo, bo nie wiele znajdzie przyjemności w domu naszym, a straci niezawodnie zaufanie swych kolegów. Zresztą pobyt nasz w Chontilly miły; Francuzi wogóle szanują nas i lubią — kilka domów już mamy znajomych. Spacery ładne i byle Bóg dał zdrowie, to wystarczymy sobie.

19-go Sierpnia 1839 r. Szanowny nasz Poseł Zwierkowicz wyprawił mi imieniny — prawdziwie polskie pod względem serca i biesiady. O. są jeszcze ludzie, których przyjaźń nagradza wszystko. Trudno jest podobać się wszystkim jeszcze w czasach takich. jak

my żyjemy, gdzie często zawiść lub partya, radaby potępić drugich. Jest to choroba, której przebaczyć potrzeba.

15-go Października 1839 r. Pożegnaliśmy Panią Żarską i Pannę Zofię, jadące do Polski. Bardzo kontentna jestem, żem jej do końca zachowała tą przychylność, jaka się w nieszczęściu należy, tam nawet, gdzie ją złem odpłacają. Już teraz żaden obowiązek nie przywiązuje nas do tego miejsca. Na przyszłą wiosnę pojedziemy w inną stronę, jeżeli Bóg dozwoli. Lubo każda zmiana miejsca przykrą jest dla mnie, tu niepowinnam żałować jak jednego rodaka, który przyzwoicie zasługę i wiek Męża mego ocenił i nie poszedł tą drogą, którą go poprowadzić chciano.

1-go Stycznia 1840 r. Nic nie zaszło nowego w położeniu naszem; niema wielkiej serdeczności w zakładzie naszym — zdaje się jednak, że od czasu wyjazdu rodaczek naszych, nietyle burzliwych jest wieści.

24-go Lutego 1840 r. Modlitwą kościelną zaczęłam dzień ten święty dla mnie. Siedmdziesiąty szósty rok Mąż mój zaczyna. Boże, dozwól że mi jeszcze wiele naliczyć takich.

4-go Marca 1840 r. Zakład dał obiad dla Męża, z okazyi jego imienin. Z wdzięcznością przyjęliśmy go — nie bez obawy jednak czy to tylko zgodnem było z życzeniem wszystkich. Nie wypadało odmówić.

15-go. W maju wyjedziem zapewnie, albo lato przepędzim tu jeszcze. Tak się już pięknie zielenić zaczyna. Ucichły plotki! — spokojnie dosyć, a lubo nie jest jeszcze tak, jak byśmy sobie życzyli; kto to zgadnie, czy nie będzie tam gorzej, gdzie pojedziemy.

20-go. Mąż się na nogi żalić zaczyna; ja się tem niepokoję dużo, tembardziej, że nic nie chce robić na to.

25-go. Stoi wielki gąsior lekarstwa, przepisanego na nogi, lecz go Mąż używać nie chce; cierpi przecież, ja to czuję dobrze, a nie śmiem Mu się sprzeciwiać. Wolę mu własną wolę jego zostawić.

31-go. Dziś mi Mąż cały dzień był cierpiący. Namówiłam go, abyśmy się przeszli, lecz to mu jeszcze gorzej zrobiło. Wrócił słaby, niekontent. Prosiłam, aby pozwolił wezwać doktora, ale i tego nie pozwolił. Siadł z nami w wieczór do wista, ale kart w ręku utrzymać nie mógł; w boleściach wielkich noc całą przepędził. W nodze prawej nadzwyczajnego dostał rwania i bólu. Całą noc przepędziliśmy oboje w cierpieniach wielkich.

1-go Kwietnia 1840 r. Równo z dniem pobiegłam po doktora, lecz go już w domu nie było i zaledwie około godziny 8 przybył.

Mąż tym razem cierpiał bardzo. Przystawiono pijawki, które nadzwyczaj wiele wytoczyły krwi, następnie kataplazma zmieniałam co godzinę; ból się trochę zmniejszył, ale nogi ani ruszyć z miejsca nie można.

20-go. Niepodobna mi było znaleźć chwili jednej czasu przez te dni 20, abym uczucia i smutki moje przeniosła na papier. Dziś, dzięki Bogu. Mąż ma się lepiej znacznie; radość moja niema granic — lepiej, że dziś dopiero zapiszę, co się działo z moim biednym Mężem, bo w ciągu jego choroby byłabym niepotrzebnie skargami i trwogą napełniła pismo moje. Drugi, trzeci i czwarty dzień ból trwał mocny, zapalenie nieustępowało — powtórzono pijawki, kataplazma ciągłe, skrapiane różnemi rzeczami — lecz ból się zmniejszał wtenczas tylko, kiedy noga nieporuszoną była: za spuszczeniem jej na dół porywały mdłości i boleści wielkie. 6 dnia chciałam nareszcie przesłać łóżko, bo nie sądziłam go już być tak słabym. Posadziłam obok łóżka na fotelu, mając głowę i nogi tak, jak w łóżku. Lecz zaledwiem się do słania łóżka odwróciła, kiedy mi Mąż omdlał. Na widok białej twarzy, oczu zamkniętych i ust posiniałych, nie wiem jak sama przeżyć mogłam ten widok. Byłam sama; krzyknęłam przeraźliwie, porwałam za głowę i ręce: wszystko sztywne i zimne. Wtem, na mój krzyk, wbiegł Pułk. Borowy, któren przypadkiem wszedł dowiedzieć się rano, jak się ma Mąż; ale tak się tym widokiem przeląkł, że jak posąg blady i osłupiały stanął. Widząc to, porwałam odrętwiałe ciało wpół i na łóżko położyłam. Zdawało się, że już duszy niema w ciele; o, była to chwila tak bolesna i straszna, że tu jej powtórzyć nie potrafię. Po chwili otworzyły się oczy i twarz kolor życia przybrała; nowe przejście, z tak wielkiego przestrachu do pociechy i radości, silnie wpłynęło na mnie: biło serce gwałtownie, ręce i nogi drżały, poczem upływ krwi tak wielki nastąpił, że ledwie sił stało utrzymać się na nogach. Mroczyło się przed oczyma dzień cały. Mąż cały dzień ten głowy od poduszki nie ruszył: mocny bulion potroszku, od czasu do czasu brany, pokrzepiał go trocha — do dni 12 trwała taka niemoc. Choremu często zdają się różne rzeczy; Mężowi przywidziało się, że to febra w nodze, zażądał, aby go na takową leczono. Doktor osądził, że mała doza białej chiny złego nie uczyni — zapisał więc pigułki z białej chiny. Ciągłe kataplazmowania, okładania wodą ślazową, skrapiania kataplazmów aromatami na przemian trwały; żadnego wewnętrznego nie było cierpienia ni gorączki i to mnie uspokajało dużo. Nogi przecież, ani na chwilę spuścić się nie dało. Tak upływał

dzień za dniem. Bóg litościwy dozwolił sił, wlał pociechę do duszy — bez tej niewydołałabym była tak ciężkiej przygodzie. Zatrudnieniu około chorego nietylko, że mi się przykre nigdy nie wydawały, lecz nader szczęśliwą byłam, żem sama jedna wydołała wszystkiemu. Jeden tylko zacny Pułkownik Borowy zrozumiał i pojął boleść moją; on mi dowiódł w tem zdarzeniu wiele braterskiej przychylności, oń na posyłkach i załatwianiach, poza domem, wszelakiego kupna wyręczał mnie, on w czem mógł niósł pomoc, z braterską troskliwością. Nieludzkie miałabym serce, żebym mu kiedy tej posługi zapomniała; tem się ona większą mi wydała, że reszta naszego zakładu obojętną została. O, to prawda, że w nieszczęściu dopiero probuje się serce człowieka. 16 dnia chorody Męża przybyła Generałowa R. z Doktorem Korabiewiczem. Czyn ten do łez mnie poruszył. Zgodził się ten zacny rodak na kuracyę miejscowego doktora, nic nie zmienił; obydwa i owszem, zdecydowali, że apertura jest potrzebną i takową na nodze prawej założono. Przekonał się biedny Mąż, że to nie febra, ale nieszczęsny ból, siłą wieku i poniesionych trudów nabyty. Winnam tu jeszcze wspomnieć o troskliwości Pani, która polskie imię nosi. W ciągu choroby Męża przyszła z odwiedzinami dwa razy; za pierwszą wizytą ofiarowała mi gałgany na kataplazma — „jak mi zabraknie tych co mam, chętnie się udam do Pani", odpowiedziałam. Za drugą zaś wizytą, konsolując mnie dodała, że jej powiedział doktór Męża mego, że już z tej choroby więcej powstać nie może. Żaden piorun tak silnie nie uderzy jak słowa Pani Roszkiewiczowej, lecz to niedługo trwało. Modlitwa i ufność w Opatrzność Boską — pokrzepiła mnie. Mąż jest zdrowszy, zdrów prawie, ale na nogę stanąć nie może.

24-go. Dziś raz pierwszy trzy kroki od łóżka z biedą przeszedł, posiedział trocha, doszedł do okna, a w końcu miesiąca łóżko opuścił. Dzięki Ci, wielki Boże! Kiedyśmy raz pierwszy zaszli do lasu, radość moja nie do opisania wielka była. Niemógł się biedny Mąż dosyć nacieszyć tą zielonością drzew, tem czystem wiosennem powietrzem. O, bo też to istotnie była radość nieporównana dla nas obojga.

1-go Czerwca 1840 r. Bardzo wolno i sił przybywa i cierpienie ustępuje. Obydwie nogi pełne liszajów.

19-go Sierpnia 1840 r. Nie mogę mieć lepszego wieczorka nad ten, że widzę Męża na nogach. Słabo, powoli, ale chodzi.

24-go. W moich kłopotach nie wiele pozostawało mi czasu zajmować się czem innem, jak domem. Nie przerwałam jednak

stosunków korespondencyi z osobami, które żywo zajmuje sprawa Polski i w tej jedyną pociechę upatruje. Nowe kwasy nieukontentowania zjawiły się w Chontilly. Pan G. D.*) powracał z Londynu na mieszkanie do Francyi; jakie tylko mogli mu, w przejeździe tym, śmieszne i nieśmieszne oddali honory, Między innemi obiad, na który mieliśmy być szczęście zaproszonymi. Ale Mąż, chodząc jeszcze w pantoflach i niezupełnie będąc zdrów — odmówił. Otóż, znowu powód do gniewów. Dziwne też to są pretensye ludzkie; chcąc im zadosyć uczynić, potrzebaby się na różne, wbrew swemu przekonaniu, poświęcić rzeczy.

1-go Października 1840 r. Zbliżamy się ku zimie; Mąż zawsze cierpi na nogi. Nadzwyczajnie wiele humorów płynie z nóg i to, powiadają bardzo jest dobrze.

1-go Listopada 1840 r. W miarę gojenia się nóg świerzb ciała jest tak wielki w dnie niektóre, że to dokucza Mężowi bardzo. Nie sypia po nocach, drapie się aż do krwi.

10-go. Cieszy mnie, że taki stan zdrowia, jaki dziś jest po chorobie Męża jest dobry, że ludzie, którzy doświadczają tego — żyją długo. Pragnę wierzyć temu i kiedy zupełnie dobrze być nie może potrzeba się i takiem złem cieszyć.

18-go Grudnia 1840 r. Dziś upływa lat 9, jak kraj opuściłam. Stopniowo do wszystkiego człowiek nawyknąć może i musi. Na początku lat tych rozpacz by brała na samą myśl, gdyby ją dopuścić można było, że pielgrzymka nasza tak być ma długą. Zeszło nam przecież lat tyle — nad czem? Kto z nas potrafi zdać rachunek? Chcąc rzetelnie wszystko wyznać, smutne byśmy potomności naszej zostawili wspomnienia. Lepiej milczeć.

*) Generał Dwernicki.

Dr. Józef Frejlich.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wyprawa Zaliwskiego 1833 r.

CZĘŚĆ DRUGA.

Partyzantka.

(Ciąg dalszy).

Po bezowocnem błąkaniu się po lasach Zaliwski i Dmochowski zostawili swoich dwóch towarzyszy Nożyńskiego i Fiedorowa. śpiących w lesie a sami oddalili się. Pozostawieni mieli zamiar wrócić do Galicyi, ale będąc już we wsi Borowej niedaleko granicy austryackiej dowiedzieli się od włościanina Knezia, że urządzono na partyzantów obławę, w obawie przeto dostania się w ręce patroli kozackich, pozostali u tego włościanina, który ich ukrył w stosie drzewa. Dopiero, gdy kozacy przeszli przez wieś weszli do chaty; już sie kładli na spoczynek, gdy, zapewne przez denuncyacye zawiadomieni o ich ukryciu kozacy znowu do wsi wrócili, otoczyli chatę i zarówno dającego przytułek wieśniaka Knezia, jak i dwóch partyzantów aresztowali.

Nieco odmiennie przedstawia przed sądem losy swego oddziału Zaliwski. Jest to zresztą jedyne źródło, dające pewien całokształt dziejów tułaczki tego oddziału partyzanckiego. Uwzględnić tu jedynie należy, że i to przedstawienie rzeczy przez Zaliwskiego z powodu swego charakteru i zeznania sądowego — nie może być bez zastrzeżeń uważane za prawdziwe i zupełne. „Po przebyciu granicy — mówi Zaliwski — nas ośmiu z dziewiątym przewodnikiem[1])

[1]) Ilość ludzi, wchodzących w skład oddziału Zaliwskiego jest niedokładna zdaje się, że w istocie było jak przedtem podano dziewięciu bez przewodnika.

przybyliśmy pod jakąś wieś, w której był posterunek z dziesięciu kozaków; tam odprawiwszy przewodnika równo ze dniem kazałem ponabijać broń i powtórzyłem moim żołnierzom zamiar naszej wyprawy, przeczytałem im artykuły partyzanckie oraz przysięgę, którą mają wykonać, skoroby swego zamiaru nie odmienili, wszyscy powtórzyli, że chętnie ze mną pójdą [1]) „W tem miejscu odpoczywaliśmy, w tem nadszedł wieśniak do lasu za drzewem, zacząłem z nim rozmowę, pytałem się, czy niema tu żołnierzy, byłych wojskowych polskich, on mnie powiedział, że jest dwóch we wsi: potraktowawszy go wódką i powiedziawszy mu, że jesteśmy Polacy, chciałem się widzieć z tymi dwoma żołnierzami; on poszedł do wsi i takowych mi przyprowadził; po wybadaniu ich, który w którym służył pułku i odkrywszy im mój zamiar spytałem, czy nie mają ochoty iść ze mną; z początku obaj się za tem oświadczyli, lecz jeden namyśliwszy się, ponieważ miał żonę i dzieci powiedział, że gdyby nie to mu stało na przeszkodzie chętnieby ze mną poszedł, potraktowawszy więc, odprawiłem go; drugi zaś z nami poszedł, a że mieliśmy dwie bronie więcej, jak nas było, takową go uzbroiłem. Udaliśmy się potem bez żadnego już przewodnika w kierunku ku Janowu lasem, kozaków będących we wsi nie niepokoiłem, gdyż wszyscy okręgowi mieli odemnie rozkaz ażeby po przejściu granicy najmniej w odległości od tejże o mil trzy napadów żadnych na posterunki nie robili, chyba dla własnej obrony: z tego samego powodu ja tym kozakom dałem pokój“ [2]) — „widziałem nawet, idąc później dalej ku Janowu, jadących dwóch kozaków przez las, ale i tych nie zaczepiałem, a oni nas nie widzieli. Na drugą noc zatrzymaliśmy się w lesie nie daleko już Janowa, na tym noclegu opuściło mnie dwóch tajemnie zostawiwszy broń, a to byli z tych, którzy ze mną przebyli granicę z trzecim ochotnikiem, dniem poprzedzającym przybyłym, pozostało więc nas wogóle sześciu. Ci już okazali szczerą chęć być razem ciągle ze mną. Po upłynięciu jeszcze jednego dnia i po przeczytaniu im jeszcze raz artykułów partyzanckich i przysięgi odebrałem od nich takową, a że było moim zamiarem zbliżyć się do Warszawy braliśmy więc kierunek takowy, lubo moi podkomendni o zamiarze moim nie wiedzieli. Trzeciego dnia już za Janowem, chcąc zrobić alarm ka-

[1]) „Ja jednak jeszcze im zostawiłem czas do namysłu i przysięgę tą razą od nich jeszcze nie odbierał“ — mówi dalej Zaliwski — w tym celu żeby umniejszyć swoją winę.

[2]) „To zaś dlatego — dodaje Zaliwski — żeby nie kompromitować granicy i nie zrobić na niej alarmu.

załem strzelić jednemu do jadących trzech kozaków, żaden nie został zabity, my zaś poszliśmy dalej; później dopiero od chłopa w lesie spotkanego dowiedziałem się, że to był oficer z dwoma kozakami i że żaden z nich nie został ranny, lecz, że ci kozacy wpadłszy do Janowa ogromny zrobili alarm i wszystkie oddziały we wsiach stojące ściągnęli do miasta i już od tego czasu ciągle obozem pod bronią stoją; zasięgnowszy tę wiadomość udałem się ku Lublinowi i przyszedłszy pod miasteczko Piaski dowiedziałem się, że tam stoi batalion piechoty a że mnie było potrzeba żywności posłałem jeszcze za dnia dwóch ludzi do tego miasteczka, ażeby takową kupili a zarazem przejrzeli, jaka jest siła i jakim sposobem są rozkwaterowani, ponieważ miałem w nocy ich zaalarmować, ażeby nie spali, sam zaś na powrót tych ludzi czekałem pod miastem w małych krzakach a las był odemnie w odległości. Wtem pastusi nas spostrzegli i dali znać do miasta, i ledwie tych dwóch nakupiwszy żywność wyszli z miasta uderzono w bębny, wszystko stanęło pod bronią; otoczyli całe miasto i wszystkich wchodzących i wychodzących najściślej rewidowali; ja na to patrzyłem, a że już zmierzchało się, udałem się przez pola do lasu, zostawiwszy ich w takim alarmie przez całą noc. Nazajutrz dowiedziałem się od spotkanego chłopa w lesie, że posłano wiadomość o tem do Lublina, że jacyś uzbrojeni dali się widzieć. W dwa dni później zaczęto robić obławę ile, że kilka oddziałów tak piechoty jak i kawaleryi przechodzące na traktach zaalarmowałem. Od tego czasu ciągle byliśmy wśród obław, lecz mego kierunku nie zmieniałem i przeprawiwszy się przez Wieprz w Stażycy prawie pod okiem stojących tam dwóch szwadronów huzarów. Dla nocy, nie będąc spostrzeżeni udaliśmy się w tym samym kierunku dalej. W tem dowiedziałem się od wieśniaków o wypadku Dziewickiego za Wisłą, to mnie mocno zasmuciło, jednak dalej postępowałem. W przeciągu tego czasu przystawało do mnie kilkunastu ochotników lecz żaden trzech dni nie wytrzymał a zatem i przysięgi nie wykonał i jedni na żądanie swoje uwolnieni odemnie zostali, drudzy zaś potajemnie mnie opuszczali: liczba zaś mego oddziału nigdy dziesięciu głów nie przechodziła. Broni dla przybywających miałem dwie sztuki w zapasie, oprócz tego w jednej wsi będącej pod lasem zaraz po przejściu granicy, gdzie stała piechota poszedłszy lasem pod tą wieś ponieważ była to niedziela widziałem, że żołnierzy ruscy są w karczmie, poszedłem z dwoma ludźmi do najbliższej chałupy, gdzie stali żołnierze w ich niebytności zabrałem tam 3 karabiny i amunicyę jaka była. Kobiecie, którą w domu zastałem

nakazałem, żeby nie odważyła się wołać póki o 500 kroków nie oddalimy się, co ona z bojaźni pewnie uczyniła; zrobił się przeto alarm, my zaś poszliśmy dalej. Przeprawiwszy się przez Wieprz miałem ze dwa dni nieco spokojniejsze, lecz wkrótce na nowo obławy się rozpoczęły i w kilku miejscach przyszło do strzałów: upłynęło tym sposobem dni dwadzieścia. Gdy już widziałem, że całe królestwo polskie jest zaalarmowane a pod Warszawę na żaden sposób dostać się nie mogę, dowiedziawszy się, że w tejże dzień i noc stoi wojsko pod bronią, postanowiłem wziąć inny kierunek oraz uwiadamiać okręgowych, ażeby zaczęli powracać do Prus i do Galicyi. Wysłałem więc dwóch, ażeby przeprawiwszy się przez Wisłę udali się w kierunku ku Toruniowi przez województwo mazowieckie[1]) i jakich okręgowych napotkają takowym, żeby powiedzieli, żeby się powracali do Galicyi i Prus, gdzie będą mieli najdogodniej, ile że w tym roku partyzantka nie będzie prowadzona, my zaś w czterech udaliśmy się ku Bugowi w okolice miasteczka Sawina. Tam nie posłyszawszy o żadnych działaniach na Wołyniu, ponieważ Borkowski[2]) nie dopełnił rozkazu i nie wkroczył, gdy mnie żołnierz z wojska rosyjskiego, który był w moim oddziale okazał chęć zbliżyć się do miejsca swego rodzinnego w okolicach Dubna na Wołyniu, powiedziałem mu, żeby namówiwszy pozostałego przy nas drugiego żołnierza udał się w tamte strony i jeżeliby spotkał jakie oddziały to samo im powiedział, co pierwszym dwom powiedziałem: sam zaś zostawszy tylko z Henrykiem Dmochowskim wziąłem kierunek ku granicy austryackiej i w przeciągu dni dziesięciu nie zaczepiając już Moskali lecz będąc od nich napastowany przybyłem w okolicy Tomaszowa, dnia 20 kwietnia przebyłem napowrót granicę". Według Dmochowskiego[3]) przybyli obaj 28 kwietnia na granicę Galicyi i po małej utarczce z kozakami przekroczyli ją koło Narola w cyrkule żółkiewskim[4]).

---

[1]) Byli to zapewne ci którzy według zeznań Nożyńskiego potajemnie do Prus umknęli. Niewiadomo, które z tych dwu przedstawień jest prawdziwe. Również inaczej u Zaliwskiego przedstawia się sprawa opuszczenia Nożyńskiego i Fiedorowa przez Zaliwskiego i Dmochowskiego.

[2]) Jeden z okręgowych na Wołyniu.

[3]) Pamiętnik Borkowskiego str. 82 z listu Henryka Dmochowskiego do Lelewela po wyjściu z Kufsteinu r. 1841.

[4]) Źródła do wyprawy oddziału Zaliwskiego: Zeznania schwytanych w Rosyi Nożyńskiego i Fiedorowa, zeznania w sądzie krym. lwowskim Jana Onasa, Józefa Zaliwskiego, Bogusława i Onufrego Horodyńskich. — List Dmochowskiego.

Podczas, gdy dwa pierwsze oddziały przekroczyły granicę, z których jeden zaraz następnego dnia poszedł w rosypkę lub wpadł w rosyjskie ręce, drugi zaś Zaliwskiego — złożony z indywiduów bezprzecznie bardzo podejrzanej wartości moralnej rozprószył się już po części sam przez się na granicy Królestwa; trzeci oddział zbierał się w Zbydniowie, aby 24 marca przekroczyć granicę pod dowództwem Edwarda Szpeka [1]). Szwagier Zaliwskiego dowódca w okręgu stanisławowskim, w województwie morawieskiem Szpek — przeszedłszy granicę pod Białą wszedł do Galicyi razem ze swoim przyjacielem Stefanem Giecołdem [2]) okręgowym na Litwie w gubernii grodzieńskiej w okręgu Wołkowysko-pruszańskim i z Łubińskim, wkroczył najpierw do cyrkułu wadowickiego, gdzie miał polecenie do obywatela Tomkowicza: tu zastał już Lewandowskiego [3]), w dalszej drodze wstąpili do Kleczy, mając polecenie od Zaliwskiego do Stawińskiego, nie zastali już go jednak w domu, dowiedzieli się tylko, że Stawińscy wyjechali do Tarnowa i że przejeżdżał już tędy Drzewicki. W Kleczy Szpek i Giecołd zostawili swoich towarzyszy Łubińskiego i Lewandowskiego sami zaś udali się według wskazówek tu im udzielonych do Mikołajowic do Tetmajera, gdzie już zastali Drzewickiego. Drzewicki przyjął ich z wymówkami, że tak długo odbywali podróż i na czas nie stawili

---

[1]) Zeznania Edwarda Szpeka (w Warszawie $\frac{\text{30 Maja}}{\text{11 Czerwca}}$ 1833 r.) lat 22 urodzony w Warszawie gdzie matka jego miała handel saski przy ulicy Senatorskiej. Do szkół chodził do XX. Pijarów — w r. 1827 wstąpił do wojska pol. do pułku grenadyerów gwardyi i służył do rewol. w stopniu podoficera. W rewolucyi awansował na podpor. do 13-go pułku piech. l. z pułkiem tym wszedł z korpusem Rybińskiego do Prus. We Francyi przebywał w zakładzie w Avignon, a w listopadzie 1832 został przez Zaliwskiego do wyprawy zjednany.

[2]) Stefan Giecold (przesłuchany 16/28 maja przed sądem wojennym radca tytularny.

[3]) Lewandowski przeznaczony był na okręgowego w województwo kaliskie do okręgu piotrkowsko-sieradzko-wieluńskiego, do Galicyi przybył również w tym celu, ażeby zebrawszy oddział wkroczyć do królestwa. Następnie po odwołaniu partyzantki wyjechał z Galicyi w celach agitatorskich w Poznańskie i do Prus — tu jednak aresztowany i internowany w Berlinie (4 listopada 1834) o swoim pobycie w Galicyi nic więcej nie zeznał ponadto, że przybył tu zapóźno trzymał się w ukryciu, że był przez Austryaków aresztowany, ale że zdołał umknąć. Akt sądowy z 31/XII. 1834 (TB. L. 2183 — Pr. Z. 1550) do sądu apel. zauważa, że Lewandowski był aktem z 22 października 1833 L. 131 o zdradę stanu oskarżony i poszukiwany.

się, i że on tego dnia jeszcze (t. j. 19-go) przekroczy granicę; polecił im aby się natychmiast udali do Tarnowa, gdzie się ich sprawą zajmie Wacław Lobeski. Faktycznie w Tarnowie w hotelu de Léopol zastali Lobeskiego, który udzielił im skromnego wsparcia pieniężnego i odesłał natychmiast do Kolbuszowy. Po drodze jednak zatrzymali się w Rejowcu u Najmanowskiego[1]), który o ich przybyciu zawiadomił Tyszkiewicza, następnego dnia t. j. 21 marca udał się sam Szpek do Kolbuszowy, ażeby zasięgnąć bliższych informacyi o posiłkach jakich mu miał udzielić Tyszkiewicz; przyrzekł mu on broń i pieniądze, kazał jednakże posunąć się bliżej ku granicy do Zbydniowa, dokąd miano następnie przysłać broń. ludzi i pieniądze.

Nazajutrz wyjechali do Zbydniowa, dokąd mieli przybyć dnia tego zwerbowani partyzanci, byli to Karol Lachowski[2]), ekonom z Werynia, dwóch dezerterów wojska rosyjskiego: Maksym Gawrolenko i Piotr N. Cały oddział nie wynosił więcej nad sześciu ludzi i w skład jego wszedł także Bentkowski, który wrócił już był do Galicyi z wyprawy nieszczęśliwej Drzewickiego i po udałej ucieczce z odwachu w Otalęży na nowo przyłączył się do partyzantki. W Zbydniowie przygotowywano się gorączkowo do wyprawy, robiono lotki, oprawiano siekiery i noże, czyszczono pistolety i strzelby. Pod wieczór dnia 24 marca rozdano partyzantom sukmany, broń i pożywienie na trzy dni. Wieczorem odprowadzili oddział Bogusław Horodyński, Tetmajer i ekonom zbydniowski Franciszek Zieliński. Nad Sanem rozstali się z oddziałem Horodyński i Tetmajer podczas gdy Zieliński pomocny był przy przeprawie a następnie milę jeszcze odprowadził oddział przez las aż do Brzuzy. Tu w lesie, należącym do tej posiadłości, czekał na oddział chłop, gajowy Walenty Flis, który anonsował się przybywającym przez rozpalenie ogniska. Chłop ten umyślnie w celu służenia za przewodnika partyzantom przysłany był w to miejsce

---

[1]) (220 28/XII. 1833 zeznania Arch. kraj.) Najm. Paweł rodem ze Święcany cyrkuł Jasielski (lat 37) trzymał w dzierżawie od pani Tyszkiewiczowej folwark Rejowiec — przez półtrzecia roku był plenipotentem Wincentego Tyszkiewicza, gdy ten przebywał w Rosyi.

[2]) Lat 32, ur. w Stojaszynie obwód Janowski wojew. lubelskie. Od r. 1819 aż do końca rewolucyi zostawał w wojsku polskiem w pułku 1-szym ułanów. W lipcu 1831 wszedł z korpusem Giełguda do Prus skąd z powrotem do Polski umknął, skąd po kilkumiesięcznym pobycie wszedł do Galicyi.

przez barona Tytusa Horocha[1]); miał on lasem brzuskim przeprowadzić oddział za granicę tak, jak poprzednio tą samą drogą przeprowadził oddział Zaliwskiego. W lesie po przejściu w bród małej rzeczki tworzącej granicę Galicyi i Królestwa, czytał Szpek oddziałowi swemu instrukcyę partyzancką, poczem partyzanci złożyli przysięgę. Stąd drogą między Kraśnikiem a Janowem na Modliborzyce szedł oddział trzy dni ku Lublinowi; następnego zaś dnia około 26 marca, gdy przybyli do Modliborzyc, oddział pomniejszył się o jednego partyzanta. Bentkowski bowiem zachorował i zostawiwszy broń swoją towarzyszom, napowrót skierował się ku Galicyi. Oddział wciąż posuwał się lasami w głąb województwa lubelskiego. i dopiero po trzech dniach odważył się wyjść z lasu, ażeby zakupić nieco pożywienia w karczmie przydrożnej. Wogóle szli tą samą drogą, co oddział Zaliwskiego, bo w tydzień, również przeszli mostem Wieprz.

Niedaleko Paczewa dnia 30 marca oddzielił się Gecołd i z dwoma towarzyszami ruszył w innym kierunku, zapewne w okrąg sobie przeznaczony[2]) Szpek zaś z pozostałym przy nim Lachowskim kontynuowali podróż dalej; tej samej nocy przybyli pod Paczew i ukryli się w lesie. Odtąd po części pieszo, po części najętemi furmankami, udając niekiedy handlarzy świń posuwali się ku Warszawie; około 3 kwietnia przybyli obaj do Okuniewa najętą furmanką, wysiedli jednak dla ostrożności w lesie i pieszo przybyli do wsi Majdanu, gdzie Szpek odszukał znajomego wieśniaka Filipa, u którego stał kwaterą jeszcze w czasie kampanii 1831 r.; z chłopem tym wysłał Szpek list do matki, mieszkającej w Warszawie z zawiadomieniem o swem przybyciu do kraju, a następnie sam, zostawiwszy Lachowskiego w Majdanie, przebrany z chłopska na furze drzewa z chłopem Filipem udał się do Warszawy, gdzie bawił dni kilka przez święta Wielkanocne. Chciał on wywiedzić

---

[1]) Było trzech braci Horochów 1. Tytus ur. w Dąbrowie dominium Wrzawy cyrk. rzesz. (lat 35) współwłaściciel majątku Wrzawy; był przed rewolucyą polską porucznikiem; podczas rewolucyi rotmistrzem w 9-tym pułku ułanów. 2. Kalikst (lat 33) od r. 1826 w wojsku polskiem jak brat w generalnym sztabie kwaterunkowym, tam też zostawał podczas rewolucyi. 3. Eustachy (lat 30) podczas rewolucyi był podporucznikiem w 1-ym pułku Krakusów i z korpusem Rybińskiego wkroczył do Prus. (Arch. krajowe Fasc. VI. z aktów Nemethego).

[2]) Szpek i Lachowski podają, że Gecołd oddalił się z powodu poróżnienia się ze Szpekiem.

się jaki duch panuje w Warszawie, werbować ludzi do oddziału i wystarać się o broń; około 15 kwietnia wrócił Szpek z Warszawy do Majdanu; ale nie wiele tam zyskał, wrócił bowiem bardzo rozczarowany, gdyż nawet najbliżsi jego, na których pomoc i wsparcie liczył, rzecz mu całą odradzali. Postanowił przeto Szpek ukrywać się jeszcze czas jakiś w lasach i czekać na działanie sąsiednich okręgowych i na przewidywany bunt w mieście Warszawie, ten bowiem według planu, ułożonego przez Zaliwskiego powinien był wybuchnąć — wówczas miał Szpek zamiar przyłączyć się na razie do innego oddziału, dopóki by swego nie utworzył. Czekano do 10 maja — wówczas Szpek nie słysząc nic o ruchach i działaniu sąsiednich okręgowych, postanowił ruszyć się z miejsca i połączyć się z okręgowym Dysiewiczem myśląc, że ten przybył już i operuje w swoim okręgu w województwie podlaskiem w okręgu siedlecko-łohockim. W tym celu udali się obaj do Stanisławowa i w lasach okolicznych spędzili cały tydzień, odważyli się nawet raz pójść na odpust do jednej z okolicznych wsi, gdzie się dowiedzieli o urządzanych przez rząd obławach na partyzantów, przy pomocy ludności wiejskiej, o ustanowieniu w każdej wsi straży włościańskich, które miały surowy nakaz chwytania wszystkich podejrzanych i odstawiania ich do najbliższych załóg wojskowych. W istocie zdarzały się już, jak opowiadano, tego rodzaju wypadki. Odstraszeni temi wiadomościami, wrócili Szpek i Lachowski do lasu i tu zamierzali czas jakiś pozostać tak dla bezpieczeństwa, jak też i z tego powodu, że okrąg stanisławowski był Szpekowi przeznaczony, należało więc dokładnie poznać teren, przedewszystkiem zaś las, wszystkie jego bezdroża i knieje. Raz odważyli się znowu wyjść z lasu dla zasięgnięcia wiadomości i udali się na jarmark do miasteczka Jodowo, potem znowu wrócili do lasu. Tak narażając się na niebezpieczeństwa krążyli obaj w okręgu stanisławowskim, bawiąc dość długo w okolicach Mińska i znów następnie wracając pod Okuniew w pobliże Warszawy. Raz jeszcze udał się Szpek do Warszawy do matki po pieniądze, skąd znowu miał zamiar wrócić do swego okręgu w lasy stanisławowskie, tym razem jednak nie udało mu się już uniknąć niebezpieczeństwa. Dnia 24-go maja niedaleko Stoczka we wsi Zgorznica straże wiejskie przytrzymały Szpeka i Lachowskiego i obu odstawiono do Warszawy. Tułactwo Gecołda, który odszedł był w inną stronę z dwoma towarzyszami jest nieznane. Według Berga miał się połączyć następnie z oddziałem Zawiszy, sam Zawisza jednak nic o tem nie mówi jakoby działał razem z Gecołdem; spotkał jednak Gecołda ten sam los co

Szpeka, w jednym bowiem czasie znalazł się w więzieniu warszawskiem, gdzie za wkroczenie do Polski odpowiadał przed komisyą wojennego sądu.[1])

Dnia 1-go kwietnia wkroczył z cyrkułu rzeszowskiego koło Chwałowic oddział Leopolda Białkowskiego do Polski.[2]) Białkowski bawił we Francyi w zakładzie avinionskim, gdy w grudniu 1832 r. został przez agenta Zaliwskiego Leona Zalewskiego pozyskany dla sprawy. Przeznaczono mu okrąg sandomiersko-opatowski w województwie sandomierskiem; udał się przeto Białkowski, jak tylu innych do Lyonu, gdzie otrzymał paszport na imię malarza Lipińskiego[3]) i 150 fr. na drogę. Podróż odbywał w Towarzystwie X. Wincentego Zaboklickiego[4]) i stryja Felicyana Białkowskiego[5]) okręgowego w województwie lubelskim w okręgu lubelsko-Krasnostawskim.[6]) Przez Szwajcaryę, Bawaryę i Czechy weszli koło Bia-

---

[1]) Źródła do wyprawy Szpeka i Gecołda: Zeznania pojmanych w Rosyi Szpeka, Gecołda, Lachowskiego. Zeznania Walentego Flisa. Zielińskiego i Horodyńskiegó w sądzie krym. lwowskim.

[2]) Leopold Białkowski rodem z Poznania (lat 29) szlachcic przydomku Biberstein herbu Róg. Ojciec jego był pułkownikiem za czasów Księstwa Warszawskiego i poległ w r. 1812 pod Możajskiem. Leopold oddany został w r. 1816 do szkoły kadetów w Kaliszu, gdzie przebywał do r. 1821, następnie jako podhorąży służył w 3-cim pułku piechoty liniowej, a po dwóch latach służby dostał się do szkoły podchorążych w Warszawie, gdzie do r. 1828 zostawał. Po wystąpieniu ze szkoły został podporucznikiem w 3-cim pułku p. l. W tym pułku odbył kampanię z r. 1831 pod Warszawą a następnie w twierdzy Zamościu, skąd 24-go października po jej poddaniu się udał się do W. Ks. poznańskiego. Utracił tu już jednak prawo obywatelstwa i pobytu, uzyskawszy przeto paszport wraz z innymi poszedł na emigracyę do Francyi. (Arch. krajowe — 162 protokół 13 grudnia 1833).

[3]) W wykazie z Lyonu widnieje, imię Leop. Białkowskiego niezmienione.

[4]) Pochodził z Zaboklik w województwie mazowieckiem, obwodzie stanisławowskim, przydomku Kolumna był w czasie rewolucyi polnym kapelanem wolnych strzelców województwa sandomierskiego, po zniszczeniu ich pod Kaźmierzem został przeniesiony do 16-go pułku p. l. w którym już do końca wojny pozostawał. Z Rybińskim wszedł do Prus. 24-go grundnia 1831 przybył do Francyi, do Avignon, gdzie w Zakonie dobroczynności był kapalanem. Dla wyprawy Zaliwskiego zjednany został przez Borkowskiego i Pomaskiego.

[5]) Również przebywał w Avignon i został przez Leona Zaliwskiego dla sprawy zjednany.

[6]) Według zeznań Zaliwskiego był w tym okręgu naznaczony na okręgowego Ring; o Felicyanie Białkowskim, że był okręgowym nie wiadomo z tych zeznań nic — tak utrzymuje Leopold Białk.

łej do Galicyi około 22-go lub 23-go marca, mając jak inni polecenie do Tomkowicza i Brandysa w cyrkule wadowickim. Stąd udali się do Tarnowa, gdzie mieli polecenie do Januszewskiego i Tetmajera, którzy im oznajmili, że u barona Konopki w Zaleszanach zbiera się dla nich oddział, który tam werbuje Karczewski [1]) — właśnie jednak w tygodniach (około 25 lub 26) umarł Konopka i punkt zborny oddziału przeniesiono do Dziurdziówki dzierżawionej przez Konstantego Nowakowskiego exwojskowego w czasie rewolucyi. Z Tarnowa odwiózł Białkowskich i Zaboklickiego Januszewski do Kolbuszowy, gdzie im Tyszkiewicz oznajmił, że zebrał się już oddział złożony z 15 ludzi najlepszej konduity, z których będą najzupełniej zadowoleni. Po drodze do Dziurdziówki wstąpili jeszcze emisaryusze do Rejowca i tu zabawili dwa dni poczem razem z przybyłym tu emigrantem Gajewskim, mieszkającym stale w Kolbuszowej, z Siesickim, Karczewskim i z dwoma partyzantami razem ruszyli do Dziurdziówki. Tu zastali już zwerbowanych do oddziału Michała Jakubowskiego [2]), Aleksandra Plenkiewicza [3]), Kucharza Michała, Wachmistrza Józefa [4]) i Michała N.

Do końca marca czekano na resztę zbierających się; przybyło ich jeszcze czterech do powyższej liczby. Byli to: Mieszczanie pochodzący z miasteczka Radomyśla: Jan Nowosielski [5]), Czechowski [6]),

---

[1]) ur. w Snikowie w cyrkule zaleszczyckim (lat 20) nauki pobierał w Tarnopolu u Jezuitów do r. 1827. W tym roku przeniósł się do Kamieńca Podolskiego w gubernii kijowskiej, gdy wybuchła rewolucya w Królestwie udał się do Galicyi i stąd z kilku towarzyszami 30 marca 1831 roku powrócił do Warszawy i wstąpił do legii litewsko-ruskiej; we wrześniu 1831 z oddziałem Różyckiego wszedł do Galicyi i do marca 1833 przebywał w Turbii (zeznania).

[2]) Eugeniusz Michał J. urodzony w Przecławku cyrk. Tarnowski syn strażnika leśnego (lat 25) służył w wojsku austryackiem w pułku ułanów ks. Karola jako żołnierz z werbunku od r. 1829 do 1833; był w Przecławku u hr. Reja pisarzem (zeznania).

[3]) Aleksander Plenkiewicz urodzony w Pinczowie w województwie krakowskiem (lat 18) od dzieciństwa przebywał u stryja swego Chmielnickiego w cyrkule rzeszowskim w Galicyi.

[4]) Może Kopczyński — Bochowskiego Pamiętnik str. 179 opis czynności przez Białkowskiego.

[5]) Jan N. ur. w Olesznicy wojew. krak. obw. Stobnica w Król. pol. (lat 27) był w Olesznicy majstrem stolarskim. Podczas rewolucyi I. w marcu 1831 wzięty był do wojska do korpusu wolnych strzelców krakowskich i zostawał w tym korpusie aż do wkroczenia Ramoriny do Galicyi, niedaleko granicy otrzymał ranę w nogę od kuli karabinowej. Z Niska, gdzie stał korpus Ramoriny wziął go na strzelca

Tomasz Michalewicz (Litwinek)[1], Maciej Chmielowski[2], których zwerbował murarz radomyski Piotr Rojek[3] i Stanisław Gostyński[4]. Broń przewieziono ze Zbydniowa do Dziurdziówki, prócz tego w mniejszej ilości dostarczyli jej Wyszkowski dzierżawca z Kurzyni, Starzyński (przysłał sześć fuzyi) i inni. O odzież wystarał się Tyszkiewicz, Lubomirscy, bar. Horochowie i Wiesiołowski. Według przeznaczenia miał się Białkowski udać w Sandomierskie, ponieważ jednak Felix B. zachorował i w Galicyi pozostać musiał, przeto postanowił Leopold B. udać się ze swoim i stryja oddziałem na Lubelskie. Oddział był umundurowany jak poprzednio w chłopskie czarne sukmany, miał ponadto karmazynowe krakuski przysłane z Wojsławia. Dnia 1-go kwietnia przekroczył oddział ten złożony z 11-tu ludzi granicę Galicyi lasem Brzuzy koło Radomyśla i Chwałowic.

Poprzednio jeszcze czytał ksiądz Zaboklicki artykuły partyzanckie i partyzanci złożyli przysięgę. Do lasu brzuskiego odprowadzili oddział Horodyński i ekonom Zieliński, w lesie zaś czekał już Flis. Jeszcze dzień zatrzymali się w lesie, dokąd im żywność przywiózł Eustachy Horoch. Po odejściu Flisa szli dalej lasami wynajmując sobie przewodników, najpierw lasem opockim następnie grabowskim. Planował Białkowski napad, najpierw na Rachów i Józefów a następnie chciał z lubelskiego udać się w sandomierskie, w swój okrąg. W samym Królestwie spotykali się partyzanci z objawami wielkiej życzliwości wśród obywatelstwa, duchowieństwa a nawet ludu wiejskiego. Pożywienia dostarczali im księża Kroczewski z Prawna, krewny partyzanta Siesickiego, i wikary Starzyński z Święcichowa, którzy odwiedzali obóz party-

bar. Konopka do Zaleszan, gdzie do zimy 1832 zostawał, następnie przebywał w Radomyślu skąd go do oddziału partyzanckiego zwerbowano.

[6]) Kazimierz Cz. rodem z Radomyśla (lat 18) bednarz i stolarz.

[1]) Właściwie Tymoteusz Szczaran w wojsku nazwany Szczarański rodem z Wołynia z zawodu szewc. Był właśnie wtedy w Warsz. gdy wybuchła rewol. i wstąpił do drugiego pułku jazdy woł., uciekł jednak z wojska pod przebranem nazwiskiem do Galicyi, gdzie po wsiach chodził za robotą, gdy korpus Różyckiego przybył do Galicyi poznano go w Lipnicy umknął więc znowu do Węgier skąd następnie do Gal. powrócił i bawił czas jakiś w Radomyślu.

[2]) Rodem z Radomyśla bednarz i mularz.

[3]) Rodem z Radomyśla trudnił się mularką.

[4]) Z Woli rzeczyckiej cyrk. rzeszowski własność ojca; (lat 17) matka z Lubomirskich.

zancki w lesie; z pomocą przybyli z obywatelstwa przedewszystkiem Nowakowscy z Święcichowa i Żabiński z Księżomyszy — do posyłek i za przewodników chętnie służyli wieśniacy, mimo, że było już ogólnie znane, że rząd urządza obławy na partyzantów kryjących się po lasach i srogo karze tych wszystkich, którzy im przychodzą z pomocą. Położenie tego oddziału nie było też lepsze od poprzednich, tembardziej, że rząd po schwytaniu kilku partyzantów z rozbitych oddziałów Dziewickiego, Szpeka i Zaliwskiego miał się na baczności w tych okolicach, graniczących z Galicyą. Przez kilka tygodni przeto unikał Białkowski zupełnie zetknięcia się z patrolami, grasującymi po kraju; ukrywał się więc w lasach, daremnie mając nadzieję połączenia się i wzmocnienia oddziałami innych okręgowych, którzy powinni byli zjawić się z swoimi oddziałami w sąsiedztwie. „Jednakże — pisze Białkowski [1]) — coraz mocniej będąc otaczany i naciskany, dnia 29-go kwietnia zostałem napadnięty przez dwudziestu dwóch kozaków, [2]) z którymi znajdował się komisarz obwodu janowskiego Ignes de Lyon i dwóch wójtów z gmin sąsiednich; cofnąwszy się szybko z oddziałem w głąb lasu zatrzymałem się w miejscu, gdzie dwie schodziły się drogi. Posłałem Karczewskiego z 8-miu ludźmi na przyległe wzgórze, aby ci w razie dalszego cofania się mojego i połączenia się z nimi wstrzymywali kozaków, sam zaś zostałem z Kopczyńskim Józefem, trzymając na wodzy drużyny z prawej i lewej strony idące. Oparci o sosnę broniliśmy się blisko godziny od natarczywości zajadłych kozaków. W końcu podoficer tychże podjechawszy o pięć kroków do mnie z pistoletem w ręku, został mocno ranny od strzału mojego, a widząc się zapewne niezdolnym do dalszej walki zakomenderował do odwrotu i pomimo zachęcania i nalegania komisarza zaniechał dalszych ataków“. Od tej chwili naznaczono na Białkowskiego nagrodę 1000 rubli, trzymał się przeto głębiej w lasach między Józefowem i Opolem [3]) zachowując wszelkie ostrożności; nie mogąc wreszcie doczekać się żadnego z sąsiednich okręgowych, wysłał z lasu księdza Zaboklickiego napowrót do Galicyi, żeby mu jeszcze ludzi przyprowadził. Zaboklicki wrócił do Dziurdziówki, gdzie się zbierał tymczasem oddział Feliksa Łubiń-

---

[1]) Pamiętnik Borkowskiego: str. 179—182.

[2]) Karczewski zeznaje, że 7-go kwietnia koło wsi Grabówki napadło 7-miu kozaków a banda częstemi wystrzałami do nich i ucieczką potrafiła się ukryć w gęstwinie lasu.

[3]) Zeznania Karczewskiego.

skiego.[1]) Jak wspomniano brał już Łubiński udział w wyprawie Dziewickiego i przeznaczony był na zastępcę Białkowskiego, obecnie przeto formował oddział, żeby mu przyjść z pomocą. Poprzednio jeszcze po rozłączeniu się z Dziewickim, posunął się był z kilku ludźmi aż w województwo sandomierskie, poznał dokładnie okrąg, w którym miał z Białkowskim działać i wrócił do Galicyi, dokąd już był przybył Białkowski. Po wyjściu Białkowskiego do Polski pozostał jednak w Dziurdziówce celem uformowania nowego posiłkowego oddziału, któryby następnie w ślad za Białkowskim podążył.

W skład tego oddziału, liczącego około trzynastu ludzi weszli: Siesicki, Wścieklica (były leśniczy), Rożański (pisarz w Skowierzynie), Adam N. (służący ze Skowierzyna). Wolański (ekonom z Bicza). Lisicki, Kędzierski, Szablicki, Figurski, Dębicki Władysław (zwany studencikiem), Józef Beryni[2]), Józef Dawidowicz[3]). Werbunkiem partyzantów do tego oddziału zajęła się bardzo gorliwie właścicielka Skowierzyna Dziewanowska. dzierżawca Gumiński z Felkowic w cyrk. tarnowskim i Wyszkowski. Uzbrojeni i odziani jak poprzednie oddziały weszli i ci partyzanci do Polski dnia 24 kwietnia koło Chwałowic przekroczywszy granicę. Tak samo do Brzuzy odprowadził ich Zieliński a dalej przez granicę służył za

---

[1]) (Pseud. Konstanty Kawecki), Białkowski zeznaje. że Łubiński był podobno bliskim krewnym jenerała Łubińskiego, co jednakowoż nie jest prawdziwe; pochodził z Warszawy, przed rewolucyą był w szkole podchorążych, a w czasie rewolucyi służył w 21-ym pułku liniowym jako pułkownik. We Francyi przebywał również w zakładzie awiniońskim.

[2]) Nazwiska członków tego oddziału są niepewne; Nowosielski n. p. podając raz nazwisko Wolański zamienia je następnie na Górecki miał to być mieszczanin z Bicza (cyrk. Jasielski). Józef Beryni szlachcic, ur. w królestwie, w wojew. sandom. (lat 25). W r. 1829 jako popisowy wzięty do wojska do 3-go p. p. l. był żołnierzem do rewolucyi, którą odbył jako podoficer 5-go p. p. rezerwowej, z Ramoriną wszedł do Galicyi i do partyzantki pozostawał u dzierżawcy Gumińskiego w Felkowie pisarzem.

[3]) ur. w Brzeżanach w Galicyi (lat 25), ze stanu kupieckiego, chodził na uniwersytet we Lwowie, gdy wybuchło powstanie wstąpił do wojska polskiego do rezerwy ułańsko-podolskiego pułku. Po wojnie wszedł do Krakowa, ztąd do Galicyi, gdzie w cyrk. tarnowskim bawił u Wyszkowskiego w Cmolasie, ten go zjednał do partyzantki i odesłał do Nowakowskiego.

przewodnika Walenty Flis.[1]) Trzy dni zabawili jeszcze w nadgranicznym lesie, gdzie sporządzano jeszcze lotki,[2]) dopiero trzeciego dnia czytał im ksiądz Zaboklicki artykuły partyzanckie i odebrał przysięgę od wyruszających. Oddział Łubińskiego błąkał się tymi samymi lasami, co poprzedni, o tyle tylko korzystniejsze było na razie jego położenie, że jeden z partyzantów Jan Siesicki sam służył mu za przewodnika. Siesicki poprowadził oddział ku Prawnu gdzie ksiądz Kroczewski równie jak Białkowskiemu i im przyszedł z pomocą, udzielając im żywności. W Święcichowie, dokąd dalej przybyli ostrzegał ich ksiądz Starzyński, że wszędzie krążą patrole wojskowe w poszukiwaniu za partyzantami. W Prawnie a właściwie w lesie grabowskim koło Prawna bawili czas jakiś, gdy przybył tam, wysłany przez Białkowskiego Karczewski; miał on się dowiedzieć u księdza Kroczewskiego, czy oczekiwany oddział Łubińskiego już przybył. Karczewski zastał właśnie oddział Łubińskiego na plebanii jak z krzykiem udając gwałtowny napad pakowali na wóz zrabowaną żywność. Natychmiast odprowadził Karczewski oddział Łubińskiego do lasu niedaleko Józefowa, gdzie był obóz Białkowskiego. Po złączeniu się obu oddziałów postanowiono natychmiast rozpocząć działanie zaczepne, napaść oddział kozacki, stojący załogą w Józefowie a następnie udać się w województwo sandomierskie, którego kryjówki i bezpieczne schronienia po lasach znał już dokładnie Łubiński. Ułożono więc przedewszystkiem plan napadu na Józefów, który miał o świcie dnia 3-go maja 1833 r. t. j. zaraz następnego dnia nastąpić. Wzmocniony oddział partyzancki, liczący nie więcej nad 24 ludzi, podzielono na 4 części, w każdej po sześciu ludzi, tymi oddziałami dowodzili Białkowski, Łubiński, Karczewski i Kopczyński. Białkowski ze swoim oddziałem miał się udać na rynek miasta, Łubiński miał uderzyć na kwatery oficerów, Karczewski i Kopczyński mieli napaść stajnie kawaleryi. Tak się przedstawiał plan ataku. Pierwszy atakował Białkowski, stojących na rynku kozaków z małym jednak skutkiem musiał się bowiem cofnąć przed przemagającemi siłami, tembardziej, że miał przeciw sobie kawaleryę, której sześciu pieszych partyzantów nie było w możności podołać. Jednakże ogień trwał na rynku dość długo i wiele szkody wyrządził rosyjskiej kawaleryi w koniach i ludziach. Białkowski cofał się ze swoim oddzia-

[1]) W. F. ur. w Król. Pol. w Lipie z ordynacyi Zamojskiej (lat 51), 20 lat mieszkał w Galicyi w Brzuzy był gajowym.

[2]) Zeznania W. Flisa.

łem zwolna za miasto, gdzie stali już w szyku bojowym kozacy i dragoni. Chcąc sobie zrobić wolne przejście uderzyli partyzanci nagle i gwałtownie na szyki wojskowe tak, że ci nie zoryentowawszy się dobrze, jak wielka siła na nich uderza poszli w rozsypkę. Mała garstka partyzantów nie miała odwagi gonić uciekających ani możności ścigać kawaleryę, cofnęła się przeto na cmentarz podmiejski, gdzie postanowiła się bronić „do ostatniej kropli krwi". Rosyanie jednak zaniechali dalszych ataków na ten oddział i partyzanci wrócili na swe stanowisko do lasu, dokąd przybyły i inne oddziały. Nie wszyscy jednak wrócili do obozu, brakło czterech: Antoniego Karczewskiego, Jakubowskiego, Dawidowicza i Plenkiewicza. Karczewski bowiem, mając instrukcyę po strzałach usłyszanych ze strony rynku natychmiast ze swoim oddziałem tam się udać, w istocie rozkaz spełnił, ale już zapóźno, przybywszy bowiem na rynek nie zastał swoich, którzy się wycofali, stali tam natomiast jeszcze w szyku bojowym kozacy, którzy zoczywszy oddział rozpoczęli z nim utarczkę. Karczewski odstrzeliwał się czas krótki, wreszcie uledz musiał przeważającej liczbie kozaków i dostał się wraz z trzema towarzyszami do niewoli, dwom towarzyszom udało się umknąć i dostać napowrót do oddziału. Dłużej pod Józefowem nie mógł teraz Białkowski z oddziałem przebywać; jednego więc z najwaleczniejszych Wścieklicę, rannego w rękę zostawił w lesie u dziegciarza, a sam cofnął się głębiej w las w inną okolicę. Czas jakiś tułał się jeszcze Białkowski w lesie, zwolna jednak zaczął się oddział jego rozprzęgać i rozpraszać. Beryni z towarzyszem jednym został za oddziałem i w ten sposób dostał się w ręce rosyjskie, że go towarzysz szkolny ekonom Walenty Kaźmierski zwierzchności gminnej wydał. Wreszcie postanowiono po bezowocnej tułaczce i trudach wrócić do Galicyi. Rozdzielono więc oddział na dwie części; jedną dowodził Lubiński, drugą Białkowski i tak pojedynczo wrócić miano do Galicyi. Najbardziej zniechęcało to, że żaden z sąsiednich okręgowych nie stanął na miejscu sobie przeznaczonem, — przyszło także zawiadomienie, że partyzantka została odwołana, nie było przeto powodu pozostawać dłużej w lasach pod grozą obławy i niewoli rosyjskiej. Jeden z partyzantów Chmielewski Maciej umknął i teraz w drodze powrotnej do Galicyi z oddziału, odważył się nawet galerą popłynąć Wisłą do Warszawy, gdzie bawił trzy miesiące trudniąc się murarką, zadenuncyował go nakoniec inny mieszczanin radomyski Piotr Chmielowski; pięć miesięcy trzymano go w więzieniu, wreszcie wyszupasowano do Galicyi. Reszta wróciła do

Galicyi tą samą drogą. W lesie w Brzuzie opuścił Białkowski swój oddział i udał się do Turbii, tu go zawiadomiono, że dwaj jego towarzysze Zaboklicki i Łubiński bawią w Dymarce na leśniczówce, udał się więc tam, gdyż wszędzie indziej pobyt był niemożliwy z powodu rewizyi i przesiadywania komisyi sądowych po dworach. Zastał Białkowski w lesie na leśniczówce Włyńskiego, jeszcze jednego partyzanta ze swego oddziału Dębickiego i tak we czterech czekali sposobniejszej chwili, ażeby się stamtąd wydostać. Nie długo jednak danem im było zabawić na Dymarce, wkrótce bowiem i tu dotarły obławy żandarmeryi austryackiej, ujęto ich nad ranem 12-go maja śpiących w stodole i do Tarnowa odstawiono [1]).

Taki był koniec 5-ciu wypraw oddziałów partyzanckich z Galicyi zachodniej do Polski; mimo jednak zastraszających wieści z zakordonu o aresztowaniach i schwytaniu tylu partyzantów, przedewszystkiem zaś o strasznej śmierci samobójczej Dziewickiego, nie wahano się formować nowe oddziały. Jedynie rozkaz Zaliwskiego powstrzymał na razie dalsze przeprawianie się do Polski. W Potoku mianowicie, w majątku Stojowskiego werbunkiem partyzantów trudnił się emigrant Eismont (Eismuntt), który zwerbowanych odsyłał do Kolbuszowy, gdzie miano nimi rozporządzić. Nakłonił Stanisława Kunińskiego podoficera 2-go pułku szaserów, Łukasza Garyckiego i podporucznika Lusta. Ponieważ jednak w Kolbuszowie bawiła właśnie komisya cyrkularna, punktem zbornym tego nowoformującego się oddziału był Cmolarz, gdzie ich przyjął i w lesie ukrywał Konstanty Lubaczewski. Tu także odesłano dwóch innych emigrantów Ignacego Dąbrowskiego podporucznika i Antoniego Bańkowskiego podoficera. Czas jakiś przebywali wszyscy w lesie cmolarskim, dokąd im leśniczy Majewski na rozkaz Lubaczewskiego żywność przynosił. Formacyą tego oddziału zajął się ponadto Wojciech Gajewski [2]) w Kolbuszowie, który w za-

---

[1]) Arch. krajowe fasc. 1. (74) Nr. 87/praes.

Źródła do wyprawy Białkowskiego i Łubińskiego: Zeznania przed sądem w Warszawie: Karczewskiego, Dawidowicza, Plenkiewicza, Beryni, Jakubowskiego; w sądzie krym. lwowskim: Białkowskiego, Zaboklickiego, Czechowskiego, Chmielowskiego, Michalewicza, Rojka, Nowosielskiego i Flisa. Białkowskiego opis działań jego oddziału w Polsce u Borkowskiego jak wyżej.

[2]) Podczas rewolucyi służył przy 4-tej lekkiej bateryi konnej w randze porucznika i ozdobiony został złotym krzyżem zasługi. Przed wejściem z korpusem Ramoriny do Galicyi odniósł ranę, z której leczył się w Warszawie u obywatela Gozdowicza; ten go polecił Tyszkiewiczowi.

stępstwie Tyszkiewicza przyjmował przysyłanych przez Eismonta partyzantów. Przygotowania odbywały się około końca kwietnia i z początkiem maja, więc właśnie w tym czasie, w którym Białkowski powrócił w te strony i wpadł w ręce obławy austryackiej. Poszukiwania zarządzone przez władze dosięgły wreszcie i tych pięciu ochotników partyzanckich. 17-go maja ujęci zostali w lesie i odstawieni do cyrkułu w Rzeszowie.

Równocześnie z formowaniem oddziałów w Galicyi zachodniej, zajęto się tem samem i we wschodniej. Głównem siedliskiem był tu Lwów i okolica. Działanie w tym kierunku zaczęło się jednak nieco później, z powodu opóźnionego przybycia okręgowych z Francyi. Punkt zresztą ciężkości przeniósł się był u samego rozpoczęcia działań do Tarnowa, gdzie czasowo przebywał główny organizator wyprawy w Galicyi Winc. Tyszkiewicz. We Lwowie w miejsce, pominiętego komitetu galicyjskiego musiała powstać nowa organizacya, któraby się zajęła wyprawianiem partyzantów. Utworzyło się więc coś w rodzaju komitetu pod przewodnictwem Józefa Zaleskiego kapitana napoleońskiego; komitet ten objął po tamtym funkcyę udzielania zapomóg i zajął się przedewszystkiem partyzantką. Rozumie się, że we Lwowie pod okiem władz działanie tego komitetu było skrępowane, nie można tu było czasowo umieszczać partyzantów, ani gromadzić broni; w pobliżu więc Lwowa w Laszkach, należących do Eugeniusza Ulatowskiego był skład broni i tam też odsyłano emigrantów i zwerbowanych do partyzantki. Jednym z najczynniejszych w przygotowaniu wyprawy był wołynianin Ignacy Kulczyński. Działalność jego w czasie powstania była już bardzo wybitna, następnie zajmował się gorliwie wychodźcami. Należał do tych ruchliwych osobników, ktorzy mimo upadku powstania nie zaniechali działań w tym samym kierunku. Zaliczał się Kulczyński do żywiołów skrajniejszych, grupujących się około Goszczyńskiego, ale do swych prac używał go również komitet galicyjski. Kiedy więc w Galicyi rozpoczęły się przygotowania do partyzantki, był Kulczyński pierwszy, który ofiarował swoje usługi komitetowi galicyjskiemu w przeprawianiu partyzantów za wschodni kordon. Był bowiem dokładnie obznajomiony ze sposobami przeprawiania się w tych stronach, często bowiem z polecenia komitetu udawał się na Wołyń i Podole[1]). Pierwszy zjawił się we Lwowie Henryk Służalski, którego przywiózł 15-go marca

[1]) Z rachunków komitetu, Dodatek V.

Chwalibóg z cyrkułu tarnowskiego [1]). Kulczyński natychmiast odprowadził go ku granicy, do Wolicy Baryłowej własności Dąbskiego, gdzie miał oczekiwać przybycia innych emisaryuszy z Francyi i formować na razie oddział. Do 19-go marca jednak t. j. na termin oznaczony nie zjawili się jeszcze okręgowi; dopiero kilka dni później przybyli Karol Borkowski i Michał Chodźko, którzy już z Francyi mieli polecenie do Józefa Zaleskiego, który w mieszkaniu swojem (w kamienicy Kuhna) udzielił im przytułku. W ślad za Borkowskim i Chodźką tegoż samego dnia przybyli wysłannicy Dwernickiego Bulewski i Tarszeński, którzy w Galicyi zachodniej chociaż z niewielkim skutkiem, spełniali już swoją misyę działania przeciw wyprawie.

Obaj stanęli również u Zaleskiego, wiedząc dobrze, że tu będzie pierwszy etap przybyłych emisaryuszów; poprzedziła ich jednak już dokładna charakterystyka; nic przeto nie zdziaławszy skierowali swoje zabiegi pod adresem komitetu galicyjskiego, w którym zdołali, jak podano wyżej, w znacznej mierze przyczynić się do zmiany zarządzeń, dotyczących partyzantki. W kilka dni później komitet galicyjski zupełnie się rozwiązał i członkowie jego rozjechali się do domów. Cały ciężar przygotowań spadł teraz na tych, którzy dobrowolnie niejako zrzekli się pomocy komitetu.

Galicya rozdzielona została na 2 okręgi działania: mianowicie zachodni, gdzie w Tarnowie był punkt zborny i ognisko i wschodni. gdzie głównym punktem był Lwów. W zachodniej jak wiadomo zajął się sprawą Tyszkiewicz i Tetmajer. we wschodniej powstał komitet, na którego czele stał jakoby Eugeniusz Ulatowski, obywatel z Laszek obok Lwowa, i Józef Zaleski. W Laszkach ukrywali się ci. których zwerbowano do partyzantki, a stąd dopiero przeznaczano ich do tych miejsc nadgranicznych, skąd oddziały partyzanckie przekroczyć miały granicę Galicyi. Werbowaniem partyzantów trudnili się członkowie komitetu nowozałożonego we Lwowie, który na sposób poprzedniego komitetu Krasickiego, zarządził składki po cyrkułach [2]) i ze szczupłych tych dochodów

---

[1]) Z życia poety romantycznego str. 27. Pierwszym z partyzantów był Służalski Henryk czyli Dąbrowski, którego przywiózł Chwalibóg do Lwowa.

[2]) List Zarczyńskiego.

udzielał wsparć emigrantom[1]; przy sposobności zaś udzielania zapomóg werbowano partyzantów,[2]) i odsyłano do Laszek.

W Laszkach bawił więc czas jakiś pułkownik Bobiński, okręgowy wołyński okręgu rowińsko-nowogrodzkiego, pod nazwiskiem przybranym Zagrodzkiego; major Macewicz (Michalski) okręgowy racławsko-starokonstantynowski na Wołyniu; Józef Gleinich (Glinich): przez czas krótki także Michał Chodźko, Borkowski i Chomski. Michał Chodźko z Laszek udał się wprost do Baryłowej Wolicy, gdzie, jak wiadomo od kilku dni już przebywał Służalski z innym emigrantem Kmitą i przygotowywał się do przekroczenia granicy, gromadząc broń. Chodźko z Wolicy udał się do majątku Ożarowskiego, położonego bliżej granicy[3]; przód jednak skomunikował się z Kulczyńskim, który go przyrzekł przeprawić z tych stron na Wołyń. W ślad jednak za Chodźką podążał Buleski, który spełniwszy swą misyę we Lwowie również zamierzał przeprawić się za kordon; znajdował tu po części u szlachty posłuch i wszędzie szkodził partyzantce. On to tak usposobił Ożarowskiego, że Chodźko zamiast dalej ku granicy się posuwać, po ostrej scysyi z Buleskim, wrócił napowrót do Wolicy i razem z Adolfem Chomskim[4] przeprawił się z tego miejsca na Wołyń. Pomocnym w tej przeprawie był kontrabandzista Smyk, niejednokrotnie już do tego rodzaju wypraw przez Kulczyńskiego używany. Służalski pozostawał na razie w Wolicy Baryłowej, nie chcąc bez oddziału wejść na Wołyń. Chodźko miał zamiar przez Wołyń udać się na Litwę, gdzie w guberni mińskiej miał przeznaczony okrąg, złożony z obwodów słuckiego i pińskiego: spotkać się tam miał wedle umowy z innym okręgowym litewskim w gubernii grodzieńskiej z okręgu słomińsko-nowogrodzkiego Michałem Wołłowiczem. Przebiegając Wołyń odniósł Chodźko bardzo złe wyobrażenie o duchu ludności, właściwie szlachty tej prowincyi. Nie znalazł tam zupełnie ani uznania, ani zapału dla sprawy, której był wykonawcą; widział wśród szlachty jeszcze zupełny brak zrozumienia dla demokratycznych haseł zachodu[5]. Po za temi rozczarowaniami czekały Chodzkę jeszcze większe. Posuwając się bowiem ku Lubieszowowi

---

[1]) Z papierów Augusta Bielowskiego: Dodatek VI.

[2]) Zeznania Księżopolskiego.

[3]) Może Strzemilcze.

[4]) Pamiętnik Chodźki Rkp. zap. Przypisek Borkowskiego 21-y „Litwin z Avignon".

[5]) Pam. Chodzki: „Nie przestał on bynajmniej katować chłopa, bo co chłopowi do urzędu pańskiego — cham musi zostać chamem".

nie zastał ani jednego okręgowego na miejscu; nikt z wyznaczonych nie stawił się w tych stronach; nie ulegało przeto wątpliwości, że partyzantka się nie udała, że dalszy trud jest bezowocny. Mimo wszystko podążał jednak Chodźko na miejsce przeznaczone. Przebiegł i Litwę, gdzie spotkał się z Wołłowiczem, kryjącym się po lasach; lecz i tu nic nie zdziałał, tembardziej, że wkrótce po jego widzeniu się z Wołłowiczem straszna wieść o schwytaniu i powieszeniu Wołłowicza rozeszła się po Litwie. Działanie więc w tych stronach pod bezustannym dozorem rządu, wymagało większego poświęcenia, było zbyt hazardowne. Nosił się Chodźko z zamiarem założenia związku węglarskiego na Litwie „trudno jednak było ustalić jego ogniwo w kraju trzymanym przez Moskwę". Postanowił przeto wrócić do Galicyi i tu rozpocząć w tym kierunku działalność. Taki był koniec wyprawy Chodźki do Polski, podczas gdy inni okręgowi nie zdołali nawet przekroczyć granicy. Zbyt wiele czasu zajęło im przygotowywanie się w nadgranicznych punktach; wlokło się ono powoli i leniwie. Broń, która przez cały czas po powstaniu ukrywana była w większej ilości u Jabłonowskich w Lubieniu, została przewieziona do Laszek zaraz za zjawieniem się partyzantów w tych stronach. Stąd dopiero odwożono ją do tych miejsc nadgranicznych, gdzie się formować miały oddziały.

Ważnym punktem zbornym obok Laszek był Rzepniow własność Hermana i Dzieduszyckiego: formował się tam oddział Macewicza, dla którego przywiózł Józef Gleinich broń z Laszek t. j. 6 dubeltówek. 6—8 pistoletów, 10 szt. manierek, 4—5 funtów prochu. i 10—12 f. kul.[1]) Do tego oddziału przyłączyli się okręgowi, którzy własnych nie mogli na razie uformować, i w ten sposób przynajmniej chcieli granicę Galicyi przekroczyć. Przybył mianowicie major Święcicki okręgowy podolski z okręgu proskurowsko-łatyczewskiego, naznaczony również na główno dowodzącego na Podolu, z nim zastępca jego Wincenty Migurski i emigranci Ordyniec i geometra Wuchiński. Przybyli oni do Rzepniowa również z Laszek. dokąd ich jakoteż Księżopolskiego (denuncyanta następnie) skierował ze Lwowa August Bielowski literat, wydawca Ziewonii, jeden z najgorliwszych członków nowego komitetu. W skład oddziału Maciewicza wchodzili zatem: Święcicki, Gleinich, Ordyniec, Tomanowicz. Bogacki, Majewski, Pinecki i Księżopolski. Oddział nie wszedł już jednak mimo przygotowań do Polski. W cyrkule

[1]) Zeznania Księżopolskiego.

złoczowskim Karol Borkowski, por. artyleryi [1]) formował oddział i przygotowywał się do wkroczenia do Polski. Przeznaczony był również na Wołyń, do okręgu kowelsko-włodzimirskiego [2]). Ale i tu nie szło to skoro. W tym celu zwołał Franciszek Bobiński jako główny komendant partyzantki w gubernii wołyńskiej, zebranie (może w Derewlanach u Zamojskiego) ażeby się naradzić nad dalszymi sposobami działania [3]). Na zebraniu tem, na którem zjawili się obok partyzantów także dość licznie obywatele galicyjscy, postanowiono przedłużyć termin przekroczenia granicy o dni kilka; obywatele bowiem w Galicyi wschodniej dopiero w ostatniej chwili powiadomieni o przedsięwzięciu, nie mieli jeszcze dość czasu, aby przygotować wszystko, co do wyprawy było potrzebne. Postanowiono również na tem zebraniu równoczesne przekroczenie granicy, ażeby razem na Wołyniu rozpocząć działanie. Obywatele oświadczyli zgodnie za dni kilka wszystkiego dostarczyć. Okręgowi wołyńscy rozdzielili więc między siebie pracę przygotowawczą; Borkowskiemu poruczono przygotowywanie ładunków, których też od dni kilka, do 20.000 przygotował.

Chociaż zabrano się teraz systematycznie do roboty i w kilka dni możnaby wejść na Wołyń — to przecież nie przyniosło to już żadnego skutku; wrócił bowiem właśnie Zaliwski do Galicyi, i odwołał partyzantkę do wiosny 1834 roku. Wobec tego przerwano robotę przygotowawczą w cyrkule złoczowskim. Ale i w innych punktach zaprzestano wszelkich w tym kierunku czynności. W cyrkule czortkowskim formował się w nadgranicznych Kudryńcach, które w części należały do Justyna Modzelewskiego, oddział pod dowództwem kapitana Józefa Duckiego. Miał on na Podolu wyznaczony okrąg mohylewsko-jampolski, i wraz z zastępcą swoim kapitanem Franciszkiem Łoniewskim (Laniewskim) powinien był z cyrkułu czortkowskiego wejść na Podole. Do oddziału tego oświadczyli gotowość wstąpić Skorytowski, Leon Miłobędzki (Gli-

---

[1]) Ur. w Zasławiu w gubernii wołyńskiej. Przy końcu r. 1827 wstąpił do wojska do artyleryi pierwszej kompanii pozycyjnej, w 1828 został podof. IV. klasy a przed rewolucyą III. klasy. W miesiącu grudniu 1830 został podpor. czem przez całą rewolucyę zostawał. Z Rybińskim wszedł do Prus, stąd do Francyi, gdzie przebywał w Avignon. Do Galicyi przybył za fałszywym paszportem na nazwisko Borcalcier.

[2]) Pam. Borkowskiego str. 27 podaje, że otrzymał okrąg ostrogsko-krzemieniecki.

[3]) Pam. Borkowskiego str. 27.

nojecki lub Posadowski) i Karol Sławicki (Rzeszotarski). Podobno ze wsi Michałówki własności Koziebrodzkiego, przeszli na Podole; po trzytygodniowym jednak pobycie tamże, wrócili napowrót do Galicyi, nie znaleźli bowiem na Podolu żadnych przygotowań. W czasie swego pobytu na Podolu poczynili wprawdzie pewne kroki i pozyskali wielu obywateli podolskich, jednakże tymczasowo na powodzenie liczyć tam nie mogli a wróciwszy do Galicyi, zastali już odwołanie Zaliwskiego.[1])

Prócz wymienionych, o których działalności mamy jakiekolwiek choć szczupłe wiadomości, działało w Galicyi wschodniej przedewszystkiem wielu emisaryuszy, nieznanych nam nawet z nazwiska. Delator Księżopolski wymienia prócz poprzednich jeszcze majora Jerzego Bułharyna jako pierwszorzędnego działacza w Galicyi[2]). Był to ten sam, który następnie w r. 46-ym był dowódcą powstania sandomierskiego, w 48-ym generałem w powstaniu węgierskiem. Czy Bułharyn miał przeznaczony jakiś okrąg niewiadomo, Zaliwski bowiem nie wymienia go wcale, jest jednak możliwe, że Bułharyn, człowiek bez wątpienia zdolny, i już na wysokiem stanowisku wojskowem. miał przeznaczony sobie jeden z okręgów Wołyńskich lub podolskich, które w podanej przez Zaliwskiego tabeli nie są obsadzone.

---

[1]) Zeznania Rolińskiego i Migurskiego w sądzie krim. lwowskim.
[2]) Mój Pamiętnik Kaczkowskiego.

Dr. Hermina Naglerowa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Legendowe postacie zakopiańskie.

II.

Ksiądz Stolarczyk.

(1847—1893).

(Ciąg dalszy).

II.

Olbrzymiego wzrostu, a równie wielkiej odwagi, jak siły fizycznej, ksiądz Stolarczyk był, poza obrębem swych obowiązków kapłańskich, zapalonym taternikiem, rozmiłowanym w trudnych i forsownych wycieczkach. To też znał Tatry, jak mało kto. Zaznacza to i Marya Steczkowska w swej książce z r. 1858, gdzie o ks. Stolarczyku między innemi tak pisze: „Co do kolei, jaką najwłaściwiej odbywać wycieczki, oraz w tem wszystkiem, co Tatrów dotyczy, najlepiej zasięgnąć rady księdza proboszcza, który zna i kocha góry, jak zapewne nikt drugi; był niemal na wszystkich wierchach, od Łomnicy i Lodowego, aż do niedostępnego Gewontu; i każdemu najchętniej udziela potrzebnych objaśnień.[1])

[1]) W innem miejscu, a mianowicie w opisie wycieczki na Krzesanicę, tak pisze taż Steczkowska: „Tymczasem nasi znajomi w Zakopanem bardzo byli niespokojni, gdyśmy nie przyszli na noc... Nasza gaździna pobiegła z płaczem na plebanię poradzić się X Proboszcza, co robić w takiej przygodzie. On jaknajspieszniej wysłał górala na polanę Kondratową, a gdyby nas tam nie zastał, miał się przeprawić do Mało-Łąki. Inny posłaniec miał iść w przeciwną stronę i wypytywać się o nas w Mietusiej i na Upłazie. Nie zdążyliśmy na czas, aby uprzedzić pierwszego posłańca, szczęście, że się na tym jednym skończyło i że więcej ludzi nie poszło szukać zguby“.

Pierwsze wycieczki zaczął ksiądz Stolarczyk robić zaraz po swym przyjeździe do Zakopanego, a więc od roku 1847 począwszy. Najwięcej chodził z księdzem Pleszowskim, proboszczem z Bielan pod Kętami, z księdzem Roszkiem, proboszczem z Poronina [1]), albo z ojcem Ambrożym, Reformatem.

O księdzu Pleszowskim tak pisze na razie w swej W y c i e c z c e n a s z c z y t G e r l a c h u, co następuje:

> Przypatrując się wzniesionemu nademną Gerlachowi, miałem na myśli przedewszystkiem X. Pleszowskiego, którego wszyscy znajomi Królem Tatr nazwali, zdaniem mojem bardzo trafnie, bo pewno żaden tak nie pokochał tych gór, jak on. Przyjeżdża on tu rokrocznie podziwiać ich szczyty, spady, doliny, jeziora i stawy, a powtarza to już on przeszło 20 lat [2]). Był ze mną na Pysznej, Czerwonym Wierchu, Koszystej i Krzyżnem, szedł przez Zawrat do Morskiego Oka, wybrał się na Kopy, nad Zielony Staw, pod Głupią Górę i zwiedził Murań, Hawrań i Polski Grzebień. Na każdem miejscu, skąd się roskoszny widok przedstawia, zwykł przedewszystkiem śpiewać *Te Deum*. Tu na Polskim Grzebieniu śpiewaliśmy razem *Venite exultemus Domino;* płakał z radości, podziwiając tak wspaniałe cuda Boskie. Taką rzewnością rozczulał i budował wszystkich. Uważałem, jak górale pobożnie obok niego na kolana padli i szczerzej może i goręcej się modlili, niż w kościele.

Skoro już była mowa o X. Pleszowskim, to przy sposobności opowiedział o nim „Jegomość“ jeszcze i następujący, dość zabawny epizod:

> Wybraliśmy się dawniej razem na Polski Grzebień, a gdyśmy się pięli do góry, pod samym już prawie szczytem rzecze do mnie mocno zmęczony X. Pleszowski: „Dalej już nie pójdę, bo nie mogę“. Ja za nim idąc, biorę mały kamień i rzucam na bok ściany niepostrzeżenie. Kamień potoczył się

---

[1]) Ks. Wojciech Roszek (zmarły w r. 1894) drukował swe spostrzeżenia meteorologiczne p. t. *Z Poronina* w sprawozdaniach komisyi fizyograficznej Towarzystwa naukowego krakowskiego. Z jego inicyatywy zajęło się Tow. Tatrzańskie utworzeniem w r. 1876 szkoły snycerstwa w Zakopanem.

[2]) To znaczy od jakiegoś roku 1853.

na dół i zaszeleściał, a ja wtedy krzyknąłem: „Uciekajmy, bo się wielki kamień na nas wali!“ Na to skoczył mój X. Jędrzej, jak sarna i sam nie czuł, jak lekko na wierzch wyszedł. Uśmialiśmy się potem serdecznie, jak to w niektórych przypadkach strach dodaje odwagi.

Jeszcze dzielniejszym taternikiem niż X. Pleszowski, był ów X. Ambroży, Reformat, specyalny amator najtrudniejszych wycieczek na szczyty, na których jeszcze przeważnie nie postała noga ludzka. Z ks. Stolarczykiem był na Baranich Górach, na których jedno niebezpieczne przejście na zawsze wryło się „Jegomości“ w pamięć, tak, iż je sobie przypominał przy najtrudniejszych trawersach na Gerlachu; a innym razem, pod przewodnictwem Wali, wdarli się razem na Mięguszowiecki Szczyt, na „Mięguszowskie Ryzy“, jak je nazywa ks. Stolarczyk. W drodze na ten szczyt spotkała ich burza z ulewą, która może innych skłoniła by do odwrotu. Ale dzielni księża ani myśleli wracać, lecz postanowili przeczekać słotę, pomimo, iż taki postój na Mięguszowickiej przełęczy, wśród przepaści pod nogami, wcale nie równał się bagateli. Mimo to — opowiada ks. Stolarczyk po latach — „z księdzem Ambrożym i Walą przeleżeliśmy w turniach, tuląc się pod skałę (bo nie było więcej miejsca) cały dzień, chroniąc się tym sposobem od nawalnego deszczu, ale przecież przetrwaliśmy niepogodę i dopięliśmy pożądanego celu“.

Jako proboszcz Zakopanego, nie dziw, iż ks. Stolarczyk przedewszystkiem miał ambicyę, ażeby poznać cały szczyt Gewontu, zwłaszcza jego część wschodnią, uchodzącą za niedostępną. Jakoż wybrał się nań kiedyś, o tem zaś, co go tam spotkało na grani, tak opowiada Walery Eliasz w swych *Szkicach z podróży w Tatry*:

> Wędrówki na wschodni szczyt Gewontu o mało nie przypłacił życiem X. J. Stolarczyk, proboszcz w Zakopanem. Siedząc, jak na siodle, po grzbiecie turni posuwał się granią od wschodu naprzód, napotykając szczeliny. Przebywszy taką jedną, którą ze wsi widać w kształcie małej szczerbki, znalazł się w miejscu, skąd naprzód, ani w tył ruszyć dalej nie mógł, wisząc nad przepaściami z dwóch stron. Z potarganą odzieżą, pokrwawiony na ciele, zawisł ks. Stolarczyk na wysokości koło 5900 stóp z małą nadzieją ocalenia życia. Nie pozostało mu już nic innego, jak krzyczeć, co sił starczy,

aby go usłyszał jaki juhaz, szczęśliwem zdarzeniem z owcami w te strony zagnany, i pomocy użyczył. Tym razem szczęście zabłąkanemu posłużyło. Juhasi posłyszeli głos, przybiegli na ratunek i z pomocą liny wydobyli z matni swego proboszcza.

W roku 1849 wyszedł ksiądz Stolarczyk, razem z Maciejem Rojem, na szczyt Świnnicy, przekonany, że się wdarł na jej szczyj najwyższy. Mylił się jednak, bo właściwie wyszedł tylko na jej szczyt niższy, ten, na którym znajduje się żerdka, zatknięta przez inżynierów kwatermistrzowstwa austryackiego. Mimo to, gdy Walery Eliasz w swym przewodniku z r. 1870 podał do wiadomości, iż palmę pierwszeństwa, gdy o Świnnicę chodzi, zdobył sobie dr. Janota, ksiądz proboszcz dał listowny wyraz swemu przekonaniu, iż zawarta w Przewodniku na str. 99 informacya winna być sprostowana. Oto, jak to w swych *Szkicach z podróży w Tatry* przedstawia Eliasz:

Gdym o tem nadmienił w wydanym r. 1870 *Illustrowanym przewodniku do Tatr i Pienin*, ksiądz proboszcz w Zakopanem zarzucał mi mylność mojego opisu opartego na opowiadaniu dr. Eug. Janoty o wynalezieniu drogi na najwyższy szczyt Świnnicy dopiero w r. 1867, gdy on (proboszcz) jeszcze przed 18-tu laty miał tam być z przewodnikiem Maciejem Rojem, którego mi na świadectwo przywodził i jego się rzeczy właściwej dopytać radził. Udając się na Krzyżne r. 1870, za przewodnika wziąłem sobie owego właśnie Macieja Roja, starego skryto-strzelca, słynnego w tem rzemiośle. Nie mówiąc mu nic o kwestyi spornej, zagadnąłem go, czy był na Świnnicy? Stary gaduła wtedy z szczególną pamięcią określił mi całą swoją wycieczkę na Świnnicę z księdzem proboszczem zakopiańskim, jak szli, co widzieli, jak na szczycie zatkniętą żerdkę zastali, na której ksiądz proboszcz na pamiątkę swego tam pobytu litery swoje wycisnął i t. d. A gdym go zaczepił o ów najwyższy czub Świnnicy, rozwiązał na moją korzyść zagadkę, mówiąc, że tam już nie byli, bo, jak się wyraził, „i koza dzika tam by się nie dostała“. A że żerdka na zwiedzanym dawniej niższym szczycie tkwi do dziś dnia, rzecz się dostatecznie wyjaśniła i mój opis nie podpada wątpliwości.

Na Lodowym Szczycie był ksiądz Stolarczyk dwa razy; raz w r. 1854, raz w r. 1867. Ale dopiero za drugim razem udało mu się wedrzeć na sam szczyt. O wycieczkach tych pisze on sam w ten sposób:

> Jak ongi Lodowy Szczyt uważany był za niedostępny i dlatego od turystów omijany (lubo z północnej strony od Nowego Targu najokazalej wygląda) tak też i Gerlach na boku zostawiano, tem bardziej, że wysunięty na południe, z polskiej strony nie tak uderzająco w oczy wpada. Przed ośmiu laty spróbowałem wyjść na sam wierzch Lodowego Szczytu i rzeczywiście dopiąłem mego zamiaru. Wybrali się wtedy ze mną Jędrzej Wala, Szymon Tatar, Wojciech Kościelny i Wojciech Ślimak, wszyscy wypróbowani przewodnicy zakopiańscy. Wprawdzie byliśmy już tu przed dwudziestu laty z X. dr. Grzegorzkiem, ówczesnym profesorem teologii, teraźniejszym zaś proboszczem w Podegrodziu, i z p. F. Berdanem, znanym botanikiem; lecz wtedy dotarliśmy tylko do ramienia Lodowego Szczytu, które to ramię niższe jest od najwyższego czuba: wejście zaś na niego zdało nam się niepodobnem.[1]) Mniemanie to jednak okazało się później mylnem, gdyż pokusiwszy się po kilku latach o wejście z odwrotnej strony, znalazłem je nie tak trudnem, jak sobie wyobrażałem; znam nawet wiele osób. które już po tej mojej wycieczce na Lodowy Szczyt się dostały[2]).

---

[1]) W swoich Szkicach z podróży w Tatry, w opisie wycieczki na Lodowy Szczyt, odbytej w r. 1873, pisze w tej sprawie Walery Eliasz: „przed kilkunastu laty czynione starania przez słynnego botanika naszego, Berdana, wraz z księdzem Stolarczykiem, w celu zwiedzenia dotąd dziewiczego szczytu Lodowego spełzły na niczem, bo doszedłszy do pewnej wysokości natrafili na nieprzebyte urwiska. Inżynierowie, co ten szczyt mierzyli, byli na jego wierzchołku, gdyż zatknięta przez nich żerdka w kupie głazów dotąd sroi niewzruszenie. Właściwie tedy utorował wychodzenie na Lodowy Szczyt ks. Stolarczyk w r. 1867, dokąd z trzema przewodnikami: Jędrzejem Walą, Szymkiem Tatarem i Wojciechem Kościelnym udał się od strony wschodniej, obszedłszy Czarny Staw. Z powrotem udał się południowym bokiem Lodowego...

[2]) Okazuje się jednak, iż Berdan, nie zrażony tą pierwszą nieudaną wycieczką na Lodowy „miądzy 12 a 16 sierpnia“ 1854, wybrał się nań powtórnie we wrześniu, i tym razem wyszedł na jego szczyt najwyższy. „We wrześniu — czytamy w jego Wycieczce

Zaprzyjaźniony z całą rodziną Homolaczów, u których we dworze w Łuśnicach częstym i mile widzianym bywał gościem, jako miejscowy proboszcz, ksiądz Stolarczyk i z nimi, i z ich znajomymi, również raz po raz robił wycieczki w góry. A były to wycieczki urządzane na wielką skalę, z liczną drużyną górali, z muzyką. Jedną z takich wycieczek, na szczyt Mięguszowicki, opisał ks. Stolarczyk w następujących słowach:

> Nad szałasem pod Wysoką przedstawia się piękny widok na Żelazne Wrota (nietknięte jeszcze ludzką stopą), Czeskie i Młynarza. Przypomniałem sobie, jak w Czeskiem przed laty biedowaliśmy wspólnie z pp. Homolaczami w wyprawie na Mięguszowskie Rysy. Rzecz miała się następnie. Przyszliśmy do Czeskiego już po nad Kosodrzewinę o godzinie 9-tej z rana, a było to w lipcu. Naraz zaczął padać śnieg mokry z deszczem pędzony do tego wiatrem. Schroniliśmy się więc pod ogromną skałę, którą Wala wyszukał, i pod nią przesiedzieliśmy cały czas tej burzy, aż do 10-tej z rana następnego dnia, kiedy już niebo się wypogodziło. Musieliśmy zaś pod tą skałą tak długo pozostać, bo niepodobieństwem było czy to wprzód czy też w tył się ruszyć. Szczęściem mieliśmy ze sobą

---

b o t a n i c z n e j w T a t r y o d b y t e j w r o k u 1854 — byłem powtórnie na Lodowej Turni, przebierając się do niej wprost z Zakopanego przez Wierchy i otaczające je doliny, czyli przecinając w poprzek całe pasmo tatrzańskie z północy na południe. Była to droga nader oryginalna i jedna z najtrudniejszych; a jak mój przewodnik (stary strzelec kóz dzikich) mię zapewniał, nikt jeszcze z obcych, prócz strzelców tej drogi nie przebywał". W artykule tym pisze Berdan: „W ciągu dwumiesięcznego mego pobytu w Tatrach (w Zakopanem) odbyłem cztery dłuższe, kilkudniowe wycieczki, a dziewięć jednodniowych. Jedną z najważniejszych była wycieczka na Koperszady Bialskie i Lodową Turnię, tę siostrzycę Łomnicy, którą Wahlenberg za wyższą od niej uważa. Później zwiedziłem dokładnie Gewont, Czerwony Wirch, Pyszną, Kasprową, Magórę, Gąsienicowe Stawy, Kościelec, Pięć Stawów i Morskie Oko". Nadto był na Muraniu (w powrocie z pierwszej nieudałej wycieczki na Lodowy od strony Jaworzyny i Koperszadów), tudzież na Świnnicy. Do Morskiego Oka szedł przez Zawrat. Szczyt Lodowego tak opisuje Berdan: „Rozpatrzywszy się bliżej na samym wierzchu, przekonałem się, iż Turnia Lodowa (Eisthaler-Spitze, jak ją i Wahlenberg nazywa) z wspólnego trzonu wystrzela trzema szczytami, z których tylko n a p o ł u d n i o w y i z n i c h n a j w y ż s z y w y j ś ć można. Reszta jest nieprzystępna zupełnie..." Wynika z tego, iż Berdan był na Lodowym na całych 13 lat przed księdzem Stolarczykiem.

12-tu dobranych górali; zwykle w tak licznem towarzystwie pp. Homolacze podobne wycieczki robili, częścią dla wygody, częścią zaś dla niezbędnej pomocy. Jeden z górali musiał być koniecznie kozłem ofiarnym, wybranym na cel rozmaitych figlów i żarcików dla rozweselenia kompanii. Najczęściej był nim Wala lub Krzeptowski; Wala jednak umiał się odcinać i dowcipem swoim nas rozśmieszał. Tych wycieczek tak ożywionych i wesołych nigdy w życiu nie zapomnę. Przez całą ową noc padał śnieg z deszczem, a myśmy długie chwile to gawędką to śmiechem skracali. Pamiętam, jakby dziś się stało, że miałem wtedy na sobie letnią wytartą surducinę, aby łatwiej piąć się po skałach, towarzysze moi także w letnich byli ubraniach, a choć zimno zaczęło dokuczać, jednak żaden nie zaziębił się, ani wycieczki tej chorobą nie przypłacił. Nie wyliczyłbym wszystkich podobnych wspomnień, które mi obecnie na myśl przychodzą, n. p. w Mięguszowskiej z p. Wł. Koziebrodzkim, St. Wodzickim i pp. Homolaczami, kiedyśmy porządnie zimne noce mieli i o takiej porze do Morskiego Oka schodzili; a trzeba wiedzieć, że zejście z Mięguszowskiej do najniebezpieczniejszych zaliczyć należy.

Jak dawniej z Homolaczami i ich znajomymi, tak później z doktorem Chałubińskim i jego towarzyszami odbywał ks. Stolarczyk podobnie liczne i wesołe „wyprawy“ w Tatry z góralami, z muzyką, z namiotem, słowem, z całym taborem. W tych warunkach wybrano się d. 8 września 1874 r. wspólnie na Gerlach.

Usłyszawszy, iż Gerlach według trygonometrycznych pomiarów ma być najwyższą górą w Tatrach, postanowiłem mimo mojego wieku spróbować szczęścia i wydrapać się na jej najwyżej położony szczyt. Pomyślałem sobie, iż może znów, jak na Lodowy szczyt drogę następnym turystom wskażę; wiadomo bowiem, że nieznana droga zawsze trudniejszą się wydaje od tej, z którą przewodnik dobrze już jest obeznanym. O zamiarze moim dowiedzieli się: znany dr. Chałubiński z Warszawy, ksiądz W. Roszek, proboszcz z Poronina, dr. Władysław Markiewicz, adwokat z Krakowa, i dr. W. Urbanowicz ze Żmudzi, a ponieważ okazali chęć przyłączenia się na tę wyprawę, przeto skwapliwie przyjąłem ich propozycyę, bo w dobranem towarzystwie zawsze jakoś weselej i przyjemniej odbywać taką drogę. W wyprawie tej

przewodniczyli. a raczej towarzyszyli nam: Szymon Tatar, Wojciech Ślimak, Wojciech Kościelny, Wojciech Roj, i jeden przewodnik z Poronina, który przybył z X. Roszkiem.

Wyruszywszy furkami z Zakopanego d. 8 września po południu, dobrze już w nocy przyjechano do Podspadów poniżej Jaworzyny i Murania. Stąd, po dobrym posiłku, nie tracąc czasu, w ciemną noc pojechano ku Zdziarowi, a stąd do bielskich borów, gdzie w lesie przy ogniu przespano się parę godzin. Ze świtem ruszono do Kesmarku, a o 2-ej zawitano do Szmeksu, gdzie zabawiwszy tylko półtorej godziny, puszczono się do Felki, by stąd raniutko puścić się pod górę.

Nie chciałem brać przewodnika, a jest nim na Spiżu jeden tylko, organista z Mühlenbachu, który na Gerlach prowadzić może; uważałem bowiem dla Zakopanego za ubliżające dać się obcym przewodnikom po Tatrach oprowadzać, a prawdę powiedziawszy nie spodziewałem się nigdy tak trudnych przejść, jakie na Gerlachu nas czekały. Próżna ta ambicya tem bardziej podnieconą została, gdy w Szmeksie na zapytanie moje o przewodnika usłyszałem odpowiedź: „Es ist ohne Führer unmöglich!“. Na takie dictum acerbum odpowiedziałem: Zobaczymy! W duszy zaś pomyślałem: Spiżacy nie będą przecież Zakopańców uczyć po Tatrach chodzić!

Nocleg w Felce wypadł nad wyraz miło. „Noc nad niższem jeziorem była tak piękna, jak rzadko kiedy w Tatrach się zdarza; dodać winienem, iż w wesołem towarzystwie, szczególniej przy niezrównanym humorze dr. Chałubińskiego czas szybko mijał. W samej Wielkiej przyłączył się do nas p. Kleczyński, akademik, nie pamiętam już z jakiego uniwersytetu niemieckiego, który piękne ukraińskie dumki śpiewał i kozaka tańczył“. Raniutko wyruszono w drogę. Prowadził Szymon Tatar. Niestety, po upływie paru godzin przekonano się naocznie, iż znaleziono się wśród bezdroża, iż dalej iść nie sposób. Nie było innej rady, tylko wracać. „przyznam się otwarcie — pisze ksiądz Stolarczyk — że dobry humor nas opuścił i przeciągnęły się twarze. Pomyślałem sobie, iż wielki błąd popełniłem, zdając przewodnictwo na kogo innego; trzeba mi było wpierw dobrze rozpatrzeć się koło siebie i rozpoznać dokładnie położenie miejsca. Ale, jak to często w życiu się powtarza,

lekceważony Gerlach pomścił się naszą porażką". Była już godzina pierwsza po południu, a więc zapóźno, by marzyć jeszcze o wyjściu na szczyt, zwłaszcza, iż i niebo nie wróżyło pewnej pogody. Wobec tego, na wniosek „Jegomości" puszczono się kotliną w górę, w nadziei, iż może tam znajdzie się jakie łatwiejsze przejście.

Im dalej zapuszczamy się w kotlinę, tem większą widzimy niemożliwość dostania się na wierzch Gerlachu. Zdawało nam się, iż od lewej strony będziemy mogli wyjść na prawy cypel, wysunięty cokolwiek na północ; w tym więc kierunku co tchu stało w piersiach pięliśmy się do góry. Wyprzedził nas wszystkich zwinny w nogach p. Chałubiński. Dlatego zaś udaliśmy się w tę stronę, że z lewego cyplu w znacznej wysokości zauważyliśmy tam możebność przejścia. Byliśmy już może 7000 stóp n. p. m., a p. Chałubiński dotarł do samej krawędzi boku; drudzy towarzysze usiedli trochę niżej, bo zmęczenie dało się wszystkim dobrze we znaki. W tem słyszymy głos p. Ch.: „Chodźcie podziwiać cuda natury". Nie chcieliśmy zrazu usłuchać, ale na silne nalegania daliśmy się wreszcie namówić. Gdyśmy więc z wielkim trudem do tej krawędzi dotarli, odezwał się p. Ch.: „Popatrzcie tem oknem". Posłuszni wezwaniu wsuwaliśmy głowę po kolei w ową zdala nieznaczną szczelinę, a kto tylko przez nią wyjrzał, nie mógł się od cudownego widoku oderwać, który się zdumionym oczom przedstawiał; była to dla każdego z nas nader miła niespodzianka, a wszelkie przebyte trudy i mozoły hojnie tym widokiem ze skalistego okna wynagrodzone zostały.

Połamane słupy granitowe, spadające jedne na drugie, utworzyły takie dziwne czworokątne okno, iż w jego framugę człowiek wdrapać się i wygodnie rozłożyć może. Nadzwyczaj szeroka, prawie pionowo ścięta skała, obrócona do widza, a przedzielona od Gerlachu wązką doliną, zakrywa prawie cały widnokrąg. Skała ta, zwana Żelazne Wrota, poszarpana jest cała i najeżona iglicami, jak olbrzymi grzebień. Za Żelaznemi Wrotami wznosi się Wysoka węgierska, czarna, jak omszała butelka, a obok niej sterczą inne dziko i fantastycznie poszarpane i prostopadłe ściany, które patrzącego nań trwogą przejmują i zarazem wprawiają w zdumienie. Ten przedziwny, magiczny efekt powiększa się jeszcze znacznie, jeżeli turysta trafił tu na czas słoneczny i pogodne

niebo. Barwa owej prostopadłej ściany staje się naprzemian jasno-zieloną i jasno-szarą. Już około godziny 3-ej po południu przestaje słońce oświecać stronę zwróconą ku owemu oknu; mnóstwo jednak promieni słonecznych, padających z poza krawędzi południowych gór. tudzież promienie odbite od ścian Gerlachu oświetlają i uwydatniają najdrobniejszy szczegół krajobrazu. Powstaje przez to jakiś szczególny, rzecby można jasny przejrzysty zmrok, coś dziwnie przeźroczystego i jakby drgającego w powietrzu, czego żadna wyobraźnia przedstawić nie jest w stanie. Wszystkie te kształty i barwy nadają całemu widokowi jakiś dziwny i czarodziejski urok.

Napatrzywszy się dowoli, choć trudno było stąd oczu oderwać, musieliśmy radzi nie radzi wracać, bo chylące się ku zachodowi słońce napominało nas do powrotu. Zanim jednak ruszyliśmy z miejsca, podziękowaliśmy p. Ch. za jego odkrycie, gdyż żadnemu z nas przez myśl nie przeszło, abyśmy w tem miejscu taką uroczą panoramę zobaczyć mogli; wątpię nawet, czy kto ze wspinających się na Gerlach na to okno choć spojrzał, bo idąc na szczyt trzeba znacznie niżej na bok się zwrócić. Na pamiątkę tego odkrycia zgodziliśmy się jednogłośnie nadać odtąd temu oknu nazwę okna Chałubińskiego.

Przykro było wracać z niczem. ale wypadało się spieszyć, bo i chmurzyć zaczynało się coraz bardziej, a powtóre chodziło o to, żeby na noc zdążyć jeszcze do Szmeksu. Gdy tam dotarto szczęśliwie. niebawem zaczął padać deszcz, który lał przez całą noc. Wobec tego zaraz rano wyjechano do Kesmarku, a stamtąd do Zakopanego. „Wróciwszy do domu — opowiada ks. Stolarczyk— czułem, że dziwny mnie jakiś ogarnął niepokój; we dnie i w nocy przemyśliwałem, czy poprzestać na tem, co już widziałem, czy też jeszcze raz próbować szczęścia i pokusić się o wyjście na sam szczyt Gerlachu.

Po dłuższych argumentach *pro et contra* stanęło wreszcie na tem: koniecznie iść trzeba (i to bez przewodnika Spiżaka, na którego w żadsn sposób zgodzić się nie mogłem), bo może już na przyszły rok, choćbym dożył, nie zdążyłbym do upragnionego celu; żal by mi zatem było, że mogłem czegoś dokonać, a nie dokonałem. Zresztą *audaces fortuna juvat.* Właśnie rozpoczęła się prześliczna pogoda, co mi

wielkiej dodało ochoty do przedsięwzięcia tej wycieczki. Tym razem wybierałem się sam jeden, ponieważ dr. Chałubiński z powodu reumatyzmu obawiał się dłuższych, a o tej porze już zimnych nocy, zaś X. Roszka właśnie wtedy nie było w domu, czego odżałować nie mogłem, bo byłby chętnie ze mną poszedł, dzielić to przedsięwzięcie.

Wziąwszy tedy ze sobą najlepszych przewodników zakopiańskich, mianowicie Wojciecha Roja, Szymka Tatara, Wojciecha Kościelnego i Wojtka Gewonta, d. 20. września rano wyruszył „Jegomość“ znaną drogą przez Waksmundską popod Wysokę, gdzie dopiero w pobliżu szałasu naprzeciw Młynarza zatrzymono się na dłuższy odpoczynek. Stąd przez Polski Grzebień, na którego grzbiecie już o zmroku odpoczęto powtórnie, ruszono na dół do Felki, gdzie przy wyższym stawie, w gąszczu kosodrzewiny, ułożono się na nocleg pod gołem niebem, przy rozpalonym ogniu.

Nazajutrz skoro świt, nie już doliną Wielką na dół, jak za pierwszym razem, lecz wprost w górę podążono ku oknu Chałubińskiego, skąd Wojciech Roj puścił się naprzód na poszukiwanie drogi, Wojtek Gewont zaś miał polecenie, aby uważał na niego, którędy się przedziera. Za Gewontem szedł ksiądz pleban z resztą górali. W ten sposób zdołano wyjść na wysoki grzbiet górski, z którego ukazał się imponujący, ale zarazem straszny widok.

Ukazały się bowiem okropne urwiska, prostopadłe ściany, mniejsze i większe poszarpane turnie, a wszystko to tak przerażające, że zdawało się, iż nikt żywy tam dostać się nie może. Zaręczam, że pierwszy przewodnik, który tu zaszedł, nie odrazu odważył się przechodzić po tych strasznych głazach, ale zapewne, będąc koziarzem, może przez kilka lat próbował, zanim doświadczył, iż po owych turniach przejście jest możebne. Nam na pierwszy rzut oka przebycie tych turni wielkie przedstawiało trudności i gdybyśmy z górami mniej byli obeznani, niż jesteśmy, zapewne cofnęlibyśmy się z tego miejsca, jak to niezawodnie wielu innych turystów uczyniło. Nie tracąc jednak otuchy, spuszczamy się za wskazówką Gewonta to szczelinami na dół, to znów drapiemy się w górę. Dwaj przewodnicy Tatar i Gewont naprzemian rękę lub ciupagę mi podają, lub niżej na ścianach słabo uczepieni podpierają moje nogi, wszyscy zaś prawie w powietrzu zawieszeni jesteśmy. W ten sposób doszliśmy do miejsca, gdzie

Gewont ostatni raz Roja widział... Czułem się potężnie zmęczonym...

Odpoczywamy już nie siedząc, bo na to nie było ustępu, lecz tylko oparci o ścianę stoimy i słuchamy skąd Roj się odezwie. Jednak nic nie było słychać. Oglądnąwszy się po za siebie którędyśmy przechodzili, rzekłem: „Gdybym sam tędy nie przechodził, nigdy bym nie uwierzył, iż przez te łamy i urwiska przejść można“. Za chwilę usłyszeliśmy głos od ściany odbity, który coraz silniej się rozlegał, w miarę, jak oddalaliśmy się od miejsca. Drapiemy się zatem jeszcze wyżej i wciskamy się w przykry od góry do dołu żleb. Spojrzawszy w górę, zobaczyliśmy na samym szczycie nad nami Roja, który dawał znać, aby za nim zdążać. Wtedy na widok bliskiego kresu wycieczki nabieramy jakoś świeżych sił i bez ustanku pniemy się żlebem w górę.

Pod samym szczytem pragnienie mi tak mocno dokuczyło. że krzyknąłem na Roja, aby mi podał trochę wina. Ten, zeskakując z wierzchu zapewnia mnie. iż ten szczyt jest najwyższym. Można sobie wyobrazić naszą radość, gdyśmy się o tej pożądanej przez nas nowinie dowiedzieli.

Pokrzepiwszy się winem, nie czułem już tak wielkiego zmęczenia, tembardziej. że pnącemu się w górę towarzysze moi rękami i ciupagami dopomagali.

Nareszcie o godzinie wpół do drugiej po południu zatrzymano się na najwyższym szczycie.

Po takiem mozolnem wspinaniu się pod górę czułem nielada zmęczenie; dlatego też zaraz usiadłem w cieniu za skałą, sterczącą od strony zachodniej... Wstawszy za chwilę i rozpatrzywszy się na wszystkie strony, wpadłem w prawdziwe zdumienie nad temi cudami Bożemi, które się roztaczały przed mojem okiem. Wtedy przyszły mi na myśl owe piękne słowa naszego nieodżałowanego wieszcza Pola: „I nic nad Boga!“

Pogoda była prześliczna. zaledwie tylko na samym czubie Łomnicy lekka się chmurka zjawiła. Jak daleko zachwycone oko sięgnąć może, wszędzie otwiera się szeroki, daleki cudowny krajobraz. Czy to bliż siebie, czy w rozległości całych Tatr, czy wreszcie po za Tatrami oko, a raczej dusza widokiem nasycić się nie może. Po pierwszem rozglądnięciu

się uklękliśmy i w cichej modlitwie oddaliśmy cześć Najwyższemu, iż nam pozwolił oglądać te dziwy. Wciąż patrząc, rzeczywiście w kłopocie jestem, w której stronie, na którym punkcie oko dłużej zatrzymać, bo trudno oznaczyć, co i gdzie piękniejsze, wszystko tu tak silne wrażenie sprawia i wielkością swoją człowieka przygniata. Na zachód w głębi Tatr rysują się wybitnie tysiączne mniejsze lub większe szare wieże w dziwacznych kształtach, nagie turnie, dziko poszarpane, skaliste, straszne przepaści, wszystko zaś razem tworzy jeden obraz jakby pogruchotanego świata. Ku wschodowi sterczą olbrzymy tatrzańskie: Lodowy Szczyt, Łomnica, Durna Góra, Baranie Rogi, z całym szeregiem innych mniejszych szczytów; na południe zaś roztwiera się stolica hrabstwa Spiskiego i Luptowskiego, a dalej błękitnieją w lekkiej mgle góry koszyckie, rożnowskie i starohorskie.

Nasyciwszy się, że tak powiem, tym w swoim rodzaju jedynym widokiem, na którego opisanie pióro moje zbyt jest nieudolne, ukląkłem jeszcze raz i odśpiewałem z radością przepełnionem sercem *Te Deum,* podczas gdy towarzysze moi po cichu się modlili. Przerwał nam zachwycenie nasze unoszący się ponad szczyty i przepaści Gerlachu wspaniały wielki orzeł, jedyna żywa istota, która tę skalistą górną krainę zamieszkuje.

Wspomniałem poprzednio, iż podobny widok jak z Gerlachu nie tak łatwo znaleźć na świecie; może to wygląda na przesadę. ale może być w części i prawdą, jeżeli ten widok porównamy z innemi.

W podróży do Ziemi Świętej wybrałem się był do Egiptu i nie omieszkałem wedrzyć się na szczyt piramidy Cheopsa, skąd na zachód przedstawia się tylko jedno rozległe morze piasku i nic więcej nie widać; na wschód zaś Kairo z 400 meczetami, z których niezliczone minarety w górę wystrzelają. Ma ten widok wprawdzie pewien urok, ale oko pragnęłoby jeszcze czegoś więcej. Że zaś powietrze jest duszne, a zatem niebardzo przeźroczyste, więc już pod tym jednym względem wielka różnica w porównaniu do widoku z Gerlachu. W Arabii znów za Czerwonem morzem rozlega się smutna płaszczyzna, pustynia bez roślinności; dalej ukazują się góry. nie mające jednak tego czarującego kolorytu co nasze Tatry, zmieniające co chwila wyraz swej fizyognomii.

Zwiedzając górę Tabor, byłem rzeczywiście widokiem z jej szczytu zachwycony; muszę tu jednak nadmienić, że cały krajobraz przedstawił mi się w znacznie ścieśnionych ramach, niedość gubiący się w nieskończoności, bo jak wiadomo góra Przemienienia Pańskiego o wiele jest niższą od Gerlachu. Uważałem również, że z Hermonu, wznoszacego się nad jeziorem Genezareth, byłby nierównie piękniejszy widok. Następnie gdym we Włoszech zwiedził Wezuwiusz, doznałem wprawdzie szczególniejszego wrażenia, lecz już w innym rodzaju, bo tutaj sąsiedztwo błękitnego morza i miasta wiele się do piękności przyczynia.

Co się jednak samych gór dotyczy, to przyznać muszę otwarcie, że wolę nasze Tatry i przekładam je nad wszelkie inne góry. Mają one coś poetyczniejszego w sobie, więcej jakoś przemawiają do mego serca i czuję dla nich prawdziwe zachwycenie, czy może dlatego, że swojskie? — niechaj to rozstrzygnie kto chce, zresztą jak mówią, *de gustibus non est disputandum.* Ta nagromadzona rozmaitość szczytów i turni, które z Gerlachu widzimy, wprawia nas w tem większe zdumienie, jeżeli bliżej siebie popatrzymy. Wszystkie inne góry mają jeden najwyższy szczyt, mniejsze zaś turnie, jak je n. p. posiada Łomnica, są znacznie niżej położone. Z Gerlachu jednak patrząc rzecz się zupełnie inaczej przedstawia. Rozdzielonym on jest na pięć szczytów ciągnących się od północy na południo-wschód, jednak nie w prostym kierunku. Średni jest najwyższym, kto więc chce powiedzieć, że był na samym szczycie Gerlachu, musi na ten średni wyjść. Północne dwa cokolwiek niższe, od średniego, a południowe co do wysokości także go nie dosięgaja. Przejście z jednego szczytu wprost na drugi jest w żaden sposób niemożebne. Każdy z nich to olbrzym straszny, o którego odarte i głuche ściany tylko wiatr się rozbija. Przed tysiacami lat niezawodnie te pięć szczytów stanowiły tylko jedną górę. Dopiero wskutek tych strasznych wstrząśnień, którym ziemia nasza podlega, nastąpił, iż się tak wyrażę, rozbrat i góra rozpadła się na pięć oddzielnych części i mnóstwo turnic. Naokoło otoczony jest Gerlach wszędzie przepaściami, z których najstraszniejsze znajdują się od północnej strony i od wschodu. Najmniejszej trawki tutaj nie spostrzegłem, a żywego stworzenia ani śladu nie było... Miejsce na wierzchołku góry nie jest zbyt wielkie i prawie równe. Na krawędzi od

doliny Wielkiej ustawiona jest przez turystów mała piramidka z kamieni; poznać jednak, iż ich jeszcze nie wielu tu było, bo piramidka niewielka.

Pomimo prześlicznego widoku musieliśmy wreszcie wracać, gdyż nocować tu niepodobna, a chylące się ku zachodowi słońce przypominało, że mamy przed sobą trudny i daleki powrót; zmęczonemu zaś, wieczorem lub nocą, nie radziłbym z Gerlachu na dół schodzić, gdyż kroku jednego nie byłby w stanie zrobić. Pożegnałem się zatem z Gerlachem i z wszystkiemi widokami ze szczytu jego. kto wie, czy nie na zawsze, bo już tu prawdopodobnie więcej się nie zapuszczę. Z dziwnem uczuciem, jakby boleśnie dotknięci rozłączeniem się z drogą osobą, zaczęliśmy schodzić na dół.

Ponieważ rzeczy pozostały w Felce, więc wracano tą samą drogą, co w tę stronę. Schodzono dosyć szybko, ale w jednem miejscu wypadło omijać skałę, bardzo trudną do przejścia.

Jest to skała mająca kilka kroków długości, a może łokieć szerokości, nachylona cokolwiek jedną krawędzią nad wielką przepaścią. Po tej skale trzeba przechodzić i przeciskać się koło wysokiej całkiem gładkiej i prostopadłej ściany, a nie mając się czego uchwycić przechodzący musi być nad tą przepaścią nachylonym. W razie zachwiania lub poślizgnięcia nogi runąłby nieszczęsny turysta w okropną przepaść, z której tylko na drobne części pogruchotane kości wydobyć by można. Dlatego też przewodnicy nasi, Szymek i Roj. zdjęli kierpce, a stanąwszy po obu bokach skały, uczepili się o ile mogli najdalej i wyciągniętemi rękami zastawiali moje nogi, aby się jakim przypadkiem nie zsunęły. Ja zaś bardzo uważnie szedłem i, na szczęście odwagi, jakiej tu koniecznie potrzeba, nie straciłem na chwilę.

Reszta drogi, choć utrudzająca, już nie przedstawiała nic nadzwyczajnego. „O ile siły pozwalały, schodziliśmy z góry dość raźno, a na spoczynek wybraliśmy ładne miejsce przy źródle, z którego woda, czysta jak kryształ, wytryskała. Moi towarzysze coś przekąsili, ja zaś, niestety nic w usta wziąć nie mogłem. Po krótkim wypoczynku trzeba było zejść do kotliny i tutaj niespodzianie uczułem, że nogi mi jakoś służbę wypowiedziały. Dlatego chwycił mnie Roj za jedną a Gewont za drugą rękę i na sposób

kozic szybko przeskakiwaliśmy ogromne jak domy zwaliska. które na drodze powalone leżały; albowiem o obejściu tych głazów nie można nawet myśleć". Przybywszy do doliny Felki, rozpaliwszy ognisko, odprawiono nocleg. Nazajutrz ruszono na Polski Grzebień, nocowano znów pod Młynarzem poniżej szałasu, a następnego dnia pod wieczór znaleziono się z powrotem w Zakopanem. „Każdy z nas był w dobrem zdrowiu i zupełnie zadowolonym z wyprawy, bośmy się nadaremnie nie wybrali, lecz pierwszy raz na sam szczyt tak okrzyczanego Gerlachu wydostali".

W styczniu z. r. otrzymałem był z Kesmarku od p. Döllera, sekretarza węgierskiego Towarzystwa Karpackiego, zapytanie, czy rzeczywiście byłem na szczycie Gerlachu i z którymi przewodnikami się wybrałem? Odpisałem mu na to, że w istocie byłem 22. września 1874 r. na najwyższym punkcie i wyliczyłem wszystkich towarzyszących mi zakopiańskich przewodników. Wkrótce potem odebrałem od tegoż p. Döllera drugi list, w którym mnie uprzejmie prosił, abym moje twierdzenie udowodnił; sądził bowiem p. Sekretarz, że się mylę, biorąc zapewne inny, mniejszy szczyt za najwyższy; albowiem trafiło się to już wielu turystom zwiedzającym Gerlach, iż sami siebie oszukując twierdzili o tem, czego nie dokazali. Takie powątpiewanie ze strony Węgrów wcale mnie nie zdziwiło. Gdy byłem podczas pierwszej wyprawy na Gerlach w Szmeksie, i nie chciałem stamtąd brać przewodnika, opowiadano mi, że znany turysta węgierski Maurycy Déchy (Deczi), który miał sam bez przewodnika odszukać wyjście na Monte Rosa w Szwajcaryi, przez dwa tygodnie mozolnie szukał przejścia na Gerlach, lecz go nie znalazł. Dlatego też litośnie potrząsali Węgrzy głowami, gdyśmy z naszej pierwszej nieudanej wyprawy z niczem do Szmeksu wrócili, dziwiąc się nad taką naszą, jak nazywali, pychą i zarozumiałością. To mnie najwięcej do przedsięwzięcia drugiej wyprawy pobudziło; obrażona miłość własna, nie dała mi spokoju, dopóki nie dopiąłem swego. Otóż, powtarzam, takiem niedowiarstwem Węgrów wcale nie byłem urażony, bo wiedziałem, że p. Döller mnie nie zna i nie wie o tem, iż od 27 lat chodząc ciągle po szczytach gór, miałem sposobność poznać je i umieć dobrze rozróżnić, jaki szczyt jest wyższy a jaki niższy. Opisałem więc p. D. różne charakterystyczne oznaki, które się na najwyższym punkcie Gerlachu znacho-

dzą. W kilka dni później otrzymałem odpowiedź w tych słowach: Es ist gar kein Zweifel mehr, Sie waren auf der richtigen höchsten Spitze. Przekonali się zatem Węgrzy dowodnie o prawdzie mojego twierdzenia. Najmilsze mi jednak to wewnętrzne przekonanie, że mimo doznanych zawodów i trudów pierwszy utorowałem drogę na Gerlach dla następnych turystów.

Ferdynand Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Germanizacya Śląska Cieszyńskiego

w II-giej połowie zeszłego wieku.

Wspomnienia i zapiski.

Ludowi śląskiemu w hołdzie.

(Ciąg dalszy.)

Księgarnie polskie.

Do spraw, które przewodnicy narodowi w Cieszynie zupełnie zaniedbali, należały sprawy księgarni i drukarni polskiej. Oba przedsięwzięcia, gdyby zostały w swoim czasie wdrożone, to jest wtedy jeszcze, gdy Cieszyn nie był tak bardzo zgermanizowany, byłyby się zaaklimatyzowały i sprawie polskiej niemały pożytek przyniosły.

Jakiś czas istniały w Cieszynie dwie księgarnie, które miały niby cechę przedsiębiorstw polskich, ale bardzo niewyraźną. Pierwsza z nich powstała z d. 1. maja 1872 r. pod firmą Karola Malika wraz ze składem materyałów piśmiennych, nut i przedmiotów artystycznych, i to w miejscu bardzo do tego odpowiedniem, bo w Rynku głównym (później przezwanym „Demelplatzem“). Z działalności tej księgarni tyle tylko nam wiadomo, że w ciągu 18-letniego swego istnienia wydała kilkanaście kalendarzy (np. „Kalendarz polski“), nieco książek religijnej treści np. w 1879 r. „Kazania w podobieństwach i przykładach“ ks. Kaz. Sypowskiego 2 tomy i kilka innych dzieł np. w r. 1879 „Z życia Polaków po świecie“, w r. 1880 „Misyonarze“, opowiadanie z 1831 r., nadto

posiadała ekspedycyę pism peryodycznych polskich, co tembardziej zasługuje na zaznaczenie, że później Cieszyn przez długie lata podobnego udogodnienia nie posiadał.

Drugą księgarnię „polską“ otworzył Jerzy Kotula d. 1. lipca 1883 r., zakupiwszy interes księgarski po niemcu Schroederze przy ul. Głębokiej (po niem. „Kronprinz Stephaniestr.“). Zdaje się jednak, że już na kilka lat przedtem prowadził interes wydawniczy, ponieważ znane nam są cztery dzieła, wydane jeszcze w r. 1879, a mianowicie: Grahama „O czystości obyczajów“, F. Kozubowskiego „Przewodnik książek dla młodzieży szkolnej“, J. I. Kraszewskiego „W sprawie szkół ludowych na Śląsku — kilka nauk dla nauczycieli“ z życiorysem autora, wreszcie „Dzieje francuskiego piśmiennictwa“ z pięknymi drzeworytami w tekście. Pozatem podobno wydawał kalendarze i dziełka religijne. Staraniem też Kotuli urządzona została w Czytelni ludowej wystawa czasopism polskich, tak w metropolii, jak w Ameryce wychodzących. Odwiedziło ją 110 osób. Drobny ten szczegół dowodzi, że Kotula miał czasami dobre pomysły i wogóle był człowiekiem dobrych chęci.

Obie te księgarnie przestały istnieć około r. 1890. Księgarnię po Kotuli nabył żyd Stuks, istniała więc nadal ale z charakterem wyłącznie niemieckim, po Maliku zakupił Niemiec Krisch, który wkrótce zbankrutował. Podobno najważniejszymi powodami upadku obu tych przedsięwzięć miała być niedostateczna znajomość zawodu księgarskiego u właścicieli, nadto jeden z nich nałogowo oddawał się pijaństwu, co przyspieszyło zamknięcie interesu.

Dlaczego po upadku tych księgarni nie postarano się o założenie nowej? W każdym razie nie brak sił fachowych był tego powodem. Na dowód tego przytoczymy słowa śp. Stalmacha, wyjęte z jego listu, pisanego do pewnej osobistości ze świata literackiego: „niegdyś cały księgarski handel polski (w Galicyi głównie) przez niejaki czas był zgoła w ręku Ślązaków ewangelików“. To żadnej wątpliwości nie ulega, powszechnie bowiem znaną jest rzeczą, że Ślązacy pozakładali i przez długi czas prowadzili wiele księgarni w Galicyi: możemy tu wymienić firmy następujące: Pelar w Rzeszowie (później Czerny), Paweł Starzyk we Lwowie, Raszka w Tarnowie, Andrzej Juszyński, rodem ze Skoczowa i Jeleń w Przemyślu, Milikowski w trzech różnych miejscowościach, nie mówiąc o kilku innych.

Do czasu powstania księgarni Malika istniała tylko księgarnia niemiecka Karola Prochaski, założona jeszcze w r. 1806. Redakcya „Gwiazdki“ w r. 1865 zwracała uwagę owej jedynej wówczas

księgarni na świeżo wyszłe dzieło „Rzym za Nerona“ przez J. I. Kaniowę (Kraszewskiego), co tłumaczyło się w ten sposób, że Prochaska przy księgarni swojej otworzył wtedy wypożyczalnię książek w języku niemieckim, polskim, francuskim i angielskim. Według katalogu drukowanego było w niej blisko 500 dzieł polskich celniejszych autorów literatury nowoczesnej. Wypożyczający po dwie książki płacili 6 złr. rocznie. Prochaska, ogłaszając w „Gwiazdce“ założenie wypożyczalni, tak ją polecał: „I polski oddział wypożyczalni mojej chętnie będę rozszerzał, o ile praktyka będzie mi dodawała miłej pobudki“.

Około r. 1894 w wypożyczalni tej nie było już ani śladu działu polskiego, ponieważ od wielu już lat zapotrzebowanie na książki polskie w sferach nieco zamożniejszych Cieszyna ustało zupełnie. Czy księgarnie Malika i Kotuli posiadały takie wypożyczalnie polskie, nie zdołaliśmy już stwierdzić.

Ruch wydawniczy.

Z księgarzy niemieckich, jacy istnieli w Cieszynie przed 25 laty, a mianowicie K. Prochaski, Kutzera (ci dwaj są zarazem właścicielami drukarń) i Stuksa. żaden z nich samodzielnie nie podejmował się wydawnictw polskich książkowych, natomiast firma Edwarda Feitzingera z wydawnictw polskich zrobiła sobie specyalność i prowadziła ten interes na wielką skalę. Wydawała do roku książek kilkanaście i każdą z nich w ilości co najmniej kilku tysięcy, kalendarzy zaś po 10, 15 i więcej tysięcy każdego. W r. 1880 wydała własnych kalendarzy aż sześć, łatwo więc zrozumieć, jakich obrotów dokonywała. Poza kalendarzami wydawała przeważnie książki do nabożeństwa, śpiewniki i całą masę tej osławionej tandety, sprzedawanej stosunkowo dość drogo, która znana jest dobrze ludziom, zajmującym się oświatą ludową. Sprawiedliwość wszakże przyznać nakazuje, że czasem trafiło się Feitzingerowi wydać coś porządniejszego. Naprz. w r. 1884 wydał broszurę p. t. „Europejska liga pokojowa i sprawa polska“, w języku polskim i niemieckim. W r. 1894 na uczczenie rocznicy Kościuszkowskiej wypuścił książeczkę o Kościuszce p. t. „Gwiazda narodu polskiego i całej ludzkości“, napisaną przez pisarza ludowego Kozdrasia. W następnym roku wyszła nakładem jego książka „Imko, zwany Wisełką“, napisana przez Bogumiła Hoffa, zawierająca legendę o powstaniu wsi Wisły na Śląsku z dość udatną fabułą romantyczną.

Mimo, że firma ta wyłącznie niemal książki polskie wydawała i głównie niemi handlowała, polską jej nazwać nie było można, ponieważ właściciel był Niemcem żydowskiego pochodzenia i oczywiście traktował księgarstwo, jako interes wyłącznie handlowy, bez cienia tendencyi narodowej i z dość małem zrozumieniem istotnych potrzeb ludu polskiego i wymagań chwili. Mimo to wszakże nie wahamy się powiedzieć, że firma Feitzingera bardzo dużo zdziałała w kierunku rozbudzenia czytelnictwa polskiego wśród ludu i to nie tylko na Śląsku, bo wydawnictwa jego rozchodziły się, bez przesady mówiąc, po całej Polsce, a nawet szły do kolonii polskich w Niemczech, bardzo dużo do Ameryki północnej i t. d.

Do ostatnich czasów nie było na Śląsku drukarni polskiej. Dopiero na parę lat przed wojną powstała w Cieszynie drukarnia polska, własność p. Mitręgi, rodowitego Ślązaka. Ten w czasie wojny na drukarni swojej zrobił znakomity interes, dzięki głównie temu, że Namiestnictwo i inne władze galicyjskie długi czas przebywały w Białej, oddając mu różne roboty drukarskie.

W roku 1894 w Cieszynie były trzy zakłady drukarskie: Karola Prochaski,[1]) istniejący pod tą firmą od r. 1849, Kutzera i Barona. Wszystkie te trzy firmy były niemieckie. Drukarnia Prochaski należała do największych zakładów tego rodzaju w Austryi: oprócz właściwej drukarni posiadała litografię, stereotypię, cynkotypię, lejarnię czcionek, introligatornię i kilka innych działów pomniejszych. Zatrudniała kilkuset robotników obojej płci.

Poza Cieszynem istniały drukarnie w Bielsku, wyłącznie niemieckie, a nadto jedna we Frysztacie, będąca własnością także niemca, Gustawa Axtmanna. Wszystkie te drukarnie, nie wyłączając nawet bielskich, zajmowały się robotami polskiemi. Najpoważniejszą pozycyę stanowiło tłoczenie książek i czasopism polskich, potem szły roboty prywatne a w końcu druki różne na potrzeby polskich towarzystw narodowych. Warto tu przypomnieć, że około r. 1891 był na Śląsku człowiek, który staraniami swemi założył towarzystwo p. n. M a c i e r z k a t o l i c k a, które posiadało drukarnię własną, nie w Cieszynie wprawdzie, lecz w Czaczy na Węgrzech (sąsiedni komitat trenczyński). Człowiekiem tym jednak był nie Ślązak, lecz Galicyanin — ks. Stanisław Stojałowski.

[1]) Ten pan Prochaska w r. 1866, podczas pewnej uroczystości ludowej, ochoczo śpiewał polskie pieśni narodowe. T e m p o r a m u t a n t u r....

Charakter jego burzliwy, temperament gorący, wreszcie radykalizm patryotyczny i ludowy, aplikowany w zbyt silnych dozach, nie mógł pogodzić się z flegmą i lojalizmem austryackim „fararzy“, nic więc dziwnego, że z liczby kilkudziesięciu, bardziej sprzyjających sprawie polskiej, zaledwie kilku tylko do Macierzy katolickiej przystąpiło. Stojałowski, gdy drukarnia w Czaczy funkcyonować zaczęła, podobno nieraz zwracał się do narodowców śląskich, już nie o pomoc, ale tylko o to, aby tej drukarni dawali robotę zamiast niemcom, wykazując, o ile taniej będzie ich to kosztowało, ale napróżno się fatygował — milczenie głuche było odpowiedzią. Bądźmy jednak objektywni. Stojałowski był już wtedy zanadto staatsgefährlich i polizeiwiedrig, aby można było z nim utrzymywać stosunki bez narażenia swej lojalności. A zresztą dawanie robót drukarskich do Czaczy było połączone z pewnemi trudnościami, czego właśnie i piszący te słowa doświadczył.

Widowiska i przedstawienia polskie.

Przed rokiem 1860 Cieszyn był tak dalece polskiem miastem, że gdy urządzano niemieckie teatry amatorskie, to nigdy nie miały one większego powodzenia i zwykle po paru przedstawieniach dalszych usiłowań zaniechiwano, natomiast widowiska polskie tego rodzaju cieszyły się dość znacznem powodzeniem. Zamożniejsze mieszczaństwo, dzisiaj zupełnie zniemczone, wtedy miało jeszcze dość silne sympatye do rzeczy polskich, do mowy i śpiewu polskiego.

We wrześniu 1862 r. w sali ratuszowej odbywał się koncert Leopolda Miłaszewskiego i Flory Kirchbergerowej, śpiewaków opery lwowskiej. Śpiewali oni po polsku, niemiecku i włosku. Publiczność przyjęła ich bardzo życzliwie, najbardziej zaś podobał się mazurek po polsku przez panią K. odśpiewany.

W numerze 20 „Gwiazdki Cieszyńskiej“ z r. 1863 pomieszczono następujące zawiadomienie: „Z dniem 1. czerwca b. r. odbywać się będzie teatr polski. Dyrektor tutejszej sceny niemieckiej uprzejmie porozumiał się w tej mierze ze swymi kolegami polskimi, których talenty artystyczne w Krakowie z zapałem uznano, a tutejsza światła publiczność także z udziałem (?) będzie umiała ocenić“.

Z ogłoszenia tego dowiadujemy się dwu rzeczy: 1) że w r. 1863 istniało już w Cieszynie niemieckie przedsiębiorstwo teatralne i 2) że Niemiec, stojący na jego czele, był na tyle humanitarny

lub oportunistą, iż nie wzdragał się zapraszać do Cieszyna teatru polskiego. Dowodzi to z jednej strony, iż szerzyciele niemczyzny dość wcześnie pomyśleli o ugruntowaniu teatru niemieckiego na terytoryum rdzennie polskiem. a z drugiej strony, że liczyli się oni jeszcze dość wyraźnie z żywiołem polskim, skoro sami występowali z inicyatywą sprowadzenia trupy polskiej na przedstawienia gościnne.

Stał wówczas na czele dyrekcyi towarzystwa niemieckiego, dającego przedstawienia w Cieszynie i Bielsku, niejaki pan Blum. On to zawarł umowę z przedstawicielem trupy krakowskiej p. Delehanem. Na skutek tej umowy w d. 6. czerwca tegoż 1863 r. aktorzy teatru krakowskiego dali w Bielsku pierwsze przedstawienie polskie, które udało się najpomyślniej i huczne oklaski publiczności towarzyszyły grze naszych artystów. Grano wtedy sztuki „Trafiła kosa na kamień“ i „Janek z pod Ojcowa“. Na zakończenie dano dla Niemców sztukę „Ursprung des Korbgebens“. Następne przedstawienia odbyły się z niemniejszym powodzeniem.

Dnia 23. czerwca trupa ta odegrała w Cieszynie te same sztuki, prócz niemieckiej. Publiczność darzyła artystów rzęsistymi oklaskami. Na drugie przedstawienie dano: „Berek zapieczętowany“ i „Pewien jegomość“, na trzecie „Uściskajmy się“ i „Chłopi arystokraci“, na czwarte — komedye „Bartosz“, „Pan Stefan z Pokucia“ i „Szewc astronom“.

W sprawozdaniu o tych przedstawieniach „Gwiazdka“ pisała. „Mimo dni skwarnych i innych okoliczności nieprzyjaznych, publiczność liczniej była zgromadzona, niż na teatrze niemieckim, skąd mamy przekonanie, iż teatr polski w Cieszynie podczas jesieni, zimy lub wiosny nie byłby na stratę wystawiony“. A trzeba nadto dodać, że owi artyści nie odznaczali się talentami, przytem było ich za mało, wreszcie wybór sztuk był niezupełnie odpowiedni dla Ślązaków.

W ciągu następnych lat kilku nie znajdujemy śladu publicznych przedstawień polskich po miastach śląskich, wiele zaś okoliczności przemawia za tem, iż przez ten czas szowiniści niemieccy usilnie pracowali nad tem, aby rząd śląski usposobić wrogo przeciw teatrowi polskiemu. Gdy oto we wrześniu 1868 r. Miłosz Sztengel, dyrektor towarzystwa dramatycznego z Wieliczki, zamierzając dać kilka przedstawień na Śląsku, poczynił odpowiednie kroki o pozwolenie, to rząd krajowy w Opawie stanowczo nie zezwolił mu na polskie przedstawienia w Cieszynie, nie odmówił jednakże pozwolenia na nie w Bielsku, który już wtedy posiadał

charakter nawskróś niemieckiego miasta. Bielszczanie pomimo swej niemieckości byli bardzo zadowoleni z artystów polskich i obsypywali ich szczodrze oklaskami. Po ostatniem przedstawieniu jeden z aktorów wystąpił do publiczności z przemówieniem, dziękując za gościnne przyjęcie i w ten sposób usprawiedliwiając przyjazd trupy polskiej do tego zniemczałego miasta: „Sądziliśmy — mówił on — że sztuka prawdziwa nie zna ograniczeń narodowościowych; przybyliśmy do Śląska nie jako do obcych, ale jako do swoich. a to na podstawie historycznie stwierdzonego pokrewieństwa (!), wreszcie do przybycia upoważnił nas dług gościnności, jaki na ziemi polskiej przez lat 22 zaciągnął dyrektor teatru niemieckiego Blum, który dawał przedstawienia niemieckie we Lwowie“.

To działo się w r. 1868. Ale dwadzieścia lat następnych uczyniło radykalną zmianę w nastroju mieszczaństwa bielskiego względem Polaków i sztuki polskiej. Już wtedy bowiem gorliwą działalność rozwijać zaczął znany później szeroko ze swego polakożerstwa dr. Teodor Haase, jeszcze jako skromny pastor zboru ewangielickiego w Bielsku.

Skutki usiłowań dra Haasego i jego popleczników odnośnie do teatru polskiego najlepiej zaznaczyły się około r. 1890, gdy Niemcy bielscy kosztem 100.000 złr. postawili piękny gmach teatralny, zawarowawszy w akcie erekcyjnym, że *w teatrze tym przedstawienie polskie bezwarunkowo nigdy odbyć się nie może.*

Powróćmy do Cieszyna. Wymieńmy z kolei wszystkie widowiska polskie, w następnych latach odbywane, o których wzmianki znajdujemy w *Gwiazdce Cieszyńskiej.* W maju 1871 r. w sali ratuszowej dawał koncert skrzypek Stanisław Taborowski. Gra jego podobno miała być „genialna“, udział wszakże publiczności był nieliczny wskutek kontragitacyi niemieckiej. Drugi raz koncertował w Czytelni ludowej a następnie w lokalu niemieckiego towarzystwa śpiewackiego.

W styczniu 1879 r. bawiła w Cieszynie trupa dramatyczna pod kierunkiem Piotra Woźnikowskiego i dała kilkanaście przedstawień, ale już nie w sali ratuszowej, tylko w Czytelni ludowej. Wybór sztuk był niezupełnie odpowiedni. z początku grano przeważnie sztuki cudzoziemskie, dopiero w końcu przedstawiono kilka utworów narodowych.

Odtąd już podwoje sali ratuszowej dla teatru polskiego nie otwierały się. Powód prawdopodobnie ten sam: wzrost antipolskiej agitacyi.

W miesiąc po Woźnikowskim zjechał do Cieszyna teatr wielkopolski pod dyrekcyą Edwarda Webersfelda, dał kilka przedstawień również w Czytelni ludowej, wobec wielkiego powodzenia pobyt swój przedłużywszy.

W listopadzie 1880 r. odbyły się w teatrze miejskim dwa występy H. Małeckiego, „profesora“ magii etc., który się przezwał Melachinim, oraz Jerzego Chrzanowskiego, komika i mimika. Tym udzielono sali ratuszowej tylko pod tym warunkiem, aby na przedstawieniach używali jedynie języka niemieckiego. Ów Chrzanowski pozostał na stale w Cieszynie, otworzywszy szkołę tańca dla dzieci i dorosłych, dawał również lekcye gimnastyki, szermierki i t. p.

W styczniu 1881 r. znowu przybyła do Cieszyna trupa poznańska E. Webersfelda i dała pięć przedstawień w Czytelni ludowej. „Nie świetnie mu się powodziło — pisała *Gwiazdka* — ale też i teatr niemiecki w roku poprzednim nie tęgo wyszedł, popsuł sobie bowiem reputacyę burdami na scenie, a w Bielsku bywał nawet pusty i przedstawienia odwoływano“.

Przyczyny niepowodzenia tym razem były czysto zewnętrzne, bo trzeba pamiętać, że była to epoka pożarów teatralnych, rok spalenia się wiedeńskiego Ringteatru. Wszystkie teatry poniosły duże straty wobec ogólnej paniki, jaka wtedy przez czas jakiś opanowała wrażliwą do zbytku publiczność. W Bielsku naprz. w kwietniu tegoż roku z 30 zapowiedzianych przedstawień niemieckich odbyło się tylko pięć. Dyrektor czmychnął, nie zapłaciwszy za afisze, gaz i lokal. W tymże roku i w Cieszynie teatr niemiecki nie miał wcale powodzenia i po kilku nieudanych przedstawieniach opuścił miasto.

Odbywane do chwili katastrofy w Ringteatrze przedstawienia teatralne w lokalu Czytelni ludowej były publiczne, każdy kto kartę wejścia wykupił, był wpuszczany, bez względu na to, czy był lub nie był członkiem Czytelni. To właśnie poniekąd decydowało o powodzeniu, jakiem się przedstawienia polskie cieszyły. Katastrofa wiedeńska (w grudniu 1881 r.) sprowadza dla teatru polskiego w Cieszynie zmianę bardzo niekorzystną. Wkrótce potem władza policyjna, zapewne z poduszczenia nieprzychylnych Polakom osobistości wpływowych, zabrania na przyszłość urządzania przedstawień publicznych w lokalu Czytelni pod pozorem, że lokal ten dla bezpieczeństwa większej ilości zgromadzonych widzów okazał się nieodpowiednim. Odtąd już nie odbyło się ani jedno przedstawienie publiczne polskie w lokalu Czytelni ludowej.

Szczerze żałować należy, że żaden z zarządów Czytelni, jakie tą instytucyą w następnych latach kierowały, nie postarał się o zniesienie tego rozporządzenia, które, jak było wiadomo powszechnie, nie było niczem uzasadnione.

Okres martwoty. — Początki odrodzenia.

Z tą chwilą zaczyna się też okres martwoty życia polskiego w Cieszynie. Możemy już z tego czasu zaledwie parę widowisk publicznych z niejaką cechą polską zanotować. W marcu 1892 r. miał miejsce koncert publiczny Bronisławy Wolskiej z udziałem wiolonczelistki Jufé. Entuzyazm publiczności, oczywiście przeważnie niemieckiej, miał być ogromny. Pani Wolska odśpiewała wtedy dwie pieśni polskie, jedną węgierską (?), kilka niemieckich.

Turyści polscy, którzy wogóle bardzo rzadko odwiedzali księstwo cieszyńskie, jakoteż kuracyusze i letnicy, których także stosunkowo mało przybywa na Śląsk, mogli byli w ogromnym stopniu przyczynić się do spopularyzowania sztuki polskiej przez urządzanie podczas lata widowisk dramatycznych, koncertów i t. p. Faktów jednak takich było bardzo mało. Przychodzi nam na pamięć jeden tylko z r. 1881, kiedy w Ustroniu, gdzie dawniej istniał zakład wodoleczniczy, goście kąpielowi odegrali teatr amatorski, który powiódł się wybornie. Ponieważ wśród gości było dużo Niemców, więc oprócz Zawieruchy hr. Koziebrodzkiego przedstawiono jeszcze Tante und Nichte. Zapał publiczności był największy podczas sztuki polskiej, której towarzyszyły grzmiące oklaski. Czysty dochód, wynoszący około 50 złr. ofiarowano przeważnie na założenie Czytelni polskiej w Ustroniu a w części na Tow. pomocy naukowej.

Upłynęło blisko lat piętnaście od czasu ostatnich przedstawień dramatycznych, zanim Cieszyn znowu publicznie usłyszał z desek scenicznych mowę polską. Stało się to w końcu czerwca 1895 r. Zjechała wtedy do Cieszyna mała trupa amatorów z Jabłonkowa, miasteczka podgórskiego na południe od Cieszyna leżącego, która odegrała publicznie obrazek ludowy p. t. „Sąsiedzi“ na prowizorycznej scenie, urządzonej w sali Domu błog. Jana Sarkandra na Starym Targu (Alt-Markt). Nie zdołano jednak przyciągnąć dostatecznie wielkiej liczby widzów, gdyż ogół ludności polskiej w Cieszynie odwykł zupełnie od tego rodzaju przedstawień i widowisk polskich a większość przewodników narodowych nie uważała za właściwe poprzeć tego przedsięwzięcia.

W tymże domu błog. Jana Sarkandra w r. 1896 odbyły się dwa razy publiczne przedstawienia w języku polskim, urządzone przez panią Piasecką, aktorkę z Galicyi i jej męża. Grali oni drobne komedyjki, wygłaszali monologi i deklamowali. Publiczność na obu tych przedstawieniach składała się z kilku księży, między nimi ks. Londzina i ks. Stojałowskiego, z niewielkiej liczby dziewcząt i niewiast, kilkunastu rzemieślników i sporej garści uczniów ze szkoły realnej i gimnazyum.

W ciągu wielkiego postu 1897 r. stowarzyszenie czeladników katolickich, istniejące w Cieszynie pod kierunkiem księdza Motzko, wikarego miejscowej parafii, urządziło w sali ratuszowej przedstawienie „męki i śmierci Pana Jezusa". Raz grano po niemiecku a następnie trzy razy powtórzono widowisko w języku polskim. Na przedstawieniu niemieckiem były pustki, polskie miały powodzenie olbrzymie. Tłumy osób odchodziły od kasy bez biletów. Duża sala, mogąca pomieścić do 1200 osób, była przepełniona za każdym razem. Na powodzenie takie wpłynęło przedewszystkiem to, że księża już na parę tygodni przedtem po kościołach zachęcali ludność do jaknajliczniejszego odwiedzania. Tak mieszczanie, jak wieśniacy nie pozostali głusi na to wezwanie. Wśród publiczności przeważały kobiety z warstw mniej zamożnych.

Poza Cieszynem publiczne przedstawienia polskie w tym czasie zaledwie w dwu miastach były urządzane. Początek dał Jabłonków, już wspomniany powyżej, gdzie od czasu 25 letniego jubileuszu miejscowej Czytelni katolicko-ludowej kilkakrotnie urządzano już widowiska dramatyczne z nadzwyczajnem powodzeniem. Bywało za każdym razem po 500 do 600 widzów. Za przykładem Jabłonkowa poszedł wkrótce Frysztat (na północ od Cieszyna), gdzie kółko amatorów sprawiło sobie dość ładną kurtynę z widokiem piastowskiej wieży w Cieszynie.

Tu wspomnieć należy, że od tego czasu mniej więcej rozpoczyna się polski ruch teatralny w zagłębiu karwińsko-ostrawskiem. Zaczęto odgrywać sztuki polskie po filiach stowarzyszenia górników i hutników „Prokop", tam mianowicie, gdzie dotychczas z estrady teatralnej rozlegał się wyłącznie język czeski. Inicyatywę do tego dał Tadeusz Reger, socyalny demokrata z Galicyi, obecny członek Rady narodowej cieszyńskiej, który położył ogromne zasługi nad uświadomieniem narodowem warstwy górniczej w tym okręgu, będącym do owego czasu pod wyłącznym wpływem socyalistów czeskich. Ruch polski jeszcze bardziej się ożywił pod tym względem z chwilą, gdy zaczęto w zagłębiu zakładać polskie

„Siły“, w których wpływy i język czeski coraz mniejszą rolę odgrywały.

Jednocześnie i narodowe stowarzyszenie „Jedność“ w zakładanych coraz liczniej filiach rozwijało w tym kierunku żywą działalność. Działo się to pod wpływem głównie założonego w tym czasie „Głosu ludu śląskiego“ i grona gorących patryotów, skupionych koło tego czasopisma.

Z wejściem w progi nowego stulecia sprawa teatru i widowisk polskich w całem księstwie stanęła już na dość silnym gruncie.

Wacław Naake-Nakęski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Narcyza Żmichowska

w świetle swych zwierzeń.

Wstęp.

Trzy wielkie tomy listów Narcyzy Żmichowskiej do rodziny i przyjaciół [1]) i mała książeczka [2]), obejmująca korespondencyę z czasów pobytu w więzieniu nie wyczerpują tego, co poetka pisała w ciągu całego życia. Wielka część jej zwierzeń zginęła wskutek zewnętrznych okoliczności. Nie zawsze można było ufać poczcie, „okazye“ też zawodziły często. Wiele listów nie doszło do rąk przeznaczonych dzięki cenzurze, niektóre zaraz po otrzymaniu niszczono. Tak n. p. było z korespondencyą z Dembowskim [3]). Ze względów konspiracyjnych posługiwała się też Narcyza specyalnym alfabetem, którego po latach odczytać już przyjaciółka [4]) nie mogła. Listy te skazane zostały na zagładę.

W latach młodzieńczych, gdy Żmichowska nie budziła jeszcze wielkich nadziei, nie przywiązywano wagi do jej kartek, — stąd pierwsze kroki Gabryeli są tak mało znane w jej oświetleniu. Z biegiem czasu każdy skrzętnie chował każde słówko od niej otrzymane, nietylko ze względów uczuciowych, ale traktując je

---

[1]) Listy Narcyzy Żmichowskiej do rodziny i przyjaciół. Kraków. Gebethner i Spółka 1906.

[2]) Listy Narcyzy Żmichowskiej do Tekli Dębskiej i innych osób. Lwów 1890.

[3]) Marya Stecka. Edward Dembowski.

[4]) Bibianna Moraczewska.

jako pamiątkę do ogółu należącą, oceniając wartość jej literacką.

Zapewne w naszych bibliotekach znajdują się nie wydane jeszcze listy Narcyzy, nie brak ich też pewno na dnie starych biurek, na strychu, w kufrze jakiejś babki. Słusznie podkreśla S. Wasylewski, że niema bardziej konserwatywnej instytucyi, niż strychy w wiejskich dworach; a szczury wbrew temu co o nich się mówi, są idealnymi kustoszami tych nieoficyalnych muzeów. Leżą więc tam wyblakłe na zżółkłem papierze, może już prawie nieczytelne, spoczywają nawet w setną rocznicę urodzin swej autorki, obok innych pamiątek przeszłości. Dostać się do nich trudno, bo może nawet nikt o nich nie wie. Inwentarza strychu przecież się nie prowadzi.

Są więc liczne luki w korespondencyi poetki, luki, których wypełnić nie można. Pomimo to jednak sylwetka Żmichowskiej jasno i wyraźnie wyłania się z jej zwierzeń. Nie żeby linia jej była prosta i czysta; rysunek wciąż gmatwa się, chwilami staje się ciemny i nieomal nieuchwytny, chwilami pada nań tyle światła, że oczy bolą patrzeć. Obraz jest tak zmienny, kapryśny, taki pełen niespodzianek, że ująć go w litery niekiedy trudno. Są jednak pewne zasadnicze punkta, stałe, niezmienne, są cechy, które od pierwszej młodości do mogiły towarzyszą poetce, — po nich poznamy ją zawsze.

Ciekawie bardzo przedstawia się stosunek Żmichowskiej do siebie, jako do autorki. Nigdy jej nie docenia. O swych pracach pisze mało, mniej niż o innych swych zajęciach. Narcyza nie była literatką, była kobietą piszącą, artystką, która w formę słów ubierała swe przeżycia, marzenia, nadzieje. To też z dzieł jej więcej czerpać możemy dokumentów jej życia, niż z listów komentarzy jej dzieł.

Była ona z grona tych kobiet, które pragnęły ścisłego związku między życiem a sztuką. Toteż między Narcyzą a Gabryellą panowała zupełna harmonia. Prawdę myśli, wypowiadanych w swych dziełach stwierdzała czynami. Jako prawa entuzyastka mogła pod każdem swem wydrukowanem słowem jak na wekslu postawić swe imię, stwierdzając, że przyjmuje za nie moralną odpowiedzialność.

W latach sześćdziesiątych, gdy Narcyza rozczytywała się w korespondencyi Słowackiego z matką, zastrzegła nietykalność swych listów. Upewnia młodego przyjaciela [1]), że jest to uzurpacyą

---

[1]) Seweryna Markiewicza.

cudzej własności. Potrzeba studyów psychologicznych nie może tego usprawiedliwić, jak n. p. dobro ludzkości nie daje rozgrzeszenia dla badań na żywem ludzkiem ciele. „Śledźcie sobie na trupach i na chorych, studyujcie na tem, co wam ludzie w społecznym podatku sami złożą, co wy od nich własnemi spostrzeżeniami sami odbierzecie, ale od prywatnego listu, od prywatnego życia, od moich najmojejszych wrażeń, bied, kłopotów, szczęść lub błędów — wara — to moje“.[1])

Zdanie swe zmieniła jednak Żmichowska. „Listy są jak stare wino, powiedzieć miała w jednej z ostatnich swych rozmów, czem starsze, tem cenniejsze“. W ten sposób usprawiedliwia się wydawca listów wobec pamięci autorki — to rozgrzesza go od wszelkiej za czyn jego odpowiedzialności.

Czy zresztą i bez tego ostatniego pozwolenia Żmichowskiej, nie znalazłby się ktoś inny, mniej skrupulatny? A że dobrze by zrobił, nie ulega wątpliwości. Jest bowiem wiadomem, że woli umarłych nie szanuje się w tym względzie, a nawet świadomie gwałci się ją jeszcze za ich życia. Wspomnijmy korespondencyę Maryi Leszczyńskiej z prezydentem Hénault, jej ciągle powtarzającą się prośbę: „proszę zniszczyć ten list“. Szanując królowę, wielbiąc kobietę wykwintny autor „Kroniki“ chowa skwapliwie każdą kartkę, by ją kiedyś ktoś mógł dać poznać publiczności.

Archiwa rosyjskie pozwalały naruszać tajemnice swych panujących w sto lat po ich śmierci, dzisiejsza moralność literacka przestrzega tylko (w teoryi) odsłanianie tajemnic żywych. Dyskusya w tym względzie jest jeszcze otwartą, nie ulega wątpliwości jednak fakt, że po wszystkie czasy listy i pamiętniki pozostaną najbardziej ponętnym materyałem dla biografa, najbardziej ciekawym dla czytelnika. Ten bezpośredni wyraz duszy zbliża nas do pisarza, jako człowieka, bo w gruncie rzeczy my przedewszystkiem szukamy człowieka.

Listy Narcyzy obejmują długi przeciąg lat, pierwsze znane nam datują się od 1838 r. ostatnie pisane w 1876 — kilka dni przed śmiercią. Przez ten przeciąg lat tyle przeżyła ta kobieta, tyle wrażeń i uczuć przeszło przez jej duszę, że na razie ogarnia lęk, jak ująć je w całość. Ale są pewne przewodnie nici, pewne myśli snują się przez lat szeregi, pewne cechy są w niej zawsze, niezniszczalne, mimo to, że się zmieni i nawet gdy nas zapewni, że dziś zupełnie inna niż dawniej.

[1]) Listy, t. II. 134.

List to chwilowy jednostronny wyraz duszy, to fotografia częściowa, zdjęta w pewnem oświetleniu, która nie pozwala jeszcze sądzić o prawdzie wyglądu. Ale jeśli tych wyrazów mieć będziemy wiele, jeśli fotografie robione będą w cieniu i w słońcu, jeśli pewne cechy złożymy na karb przypadkowego nastroju, inne łączyć będziemy razem, powoli z chaosu fragmentów myśli, z ułamkowych nieraz drgnień duszy, z barwnej mozajki łez i uśmiechów wyłoni się dusza prawdziwa danej istoty.

Przy tego rodzaju pracy nasuwa się zawsze myśl, czy można kogoś sądzić naprawdę trafnie, bezstronnie, tylko na podstawie tego, co on sam o sobie mówi? Czy przy ocenie obejść się można bez świadectwa innych osób?

Zapewne, że każdy źle i mylnie siebie sądzi, przecenia lub niedocenia, o bezstronności mowy być nie może, ale z drugiej strony, nie ulega wątpliwości, że ten sąd jest bliższym prawdy, niż wydany przez kogoś trzeciego.

Żmichowska należała do osób, które tyle od siebie wymagały, że nigdy zadowolone nie są, jeśli czem zgrzeszy, to nie zbytkiem wiary w siebie, ale skromnością i pokorą, które nawet razić mogą, ale które nie rzucą nigdy cienia na jej szczerość.

Narcyza jest zawsze sobą, w swem życiu, równie jak w dziełach, najwiecej może w listach. Dawała w nich bezpośredni wyraz wszystkim przeżyciom, bez względu na nie, prosto, wyraźnie. I kto wie, czy mówiąc o swych pracach, że duszę swą w nie włożyła, nie myślała o listach gdy dodawała, że jest jej daleko jednak więcej w tem, czego w nich nie napisała. Do listów przywiązuje wielką wagę: ta ciągła wymiana myśli z ukochanymi, to jej niebo na ziemi, uśmiech słońca, jej wiara w dobro.

Listy nazywa „momentami“ życia, niekiedy portretem swym duchowym z danej chwili, i tem co od innych odbiera cieszy się, bo to „kawałek życia dany jej na własność“. Dobrze zdaje sobie sprawę, jak dużo w swą korespondencyę wkłada, szczególniej w ostatnich latach życia, gdy literacka praca jej nie pociąga. Wie dobrze, że posyła studya psychologiczne o sobie, nie omieszka naturalnie dodać „nudne“. To są czasy, gdy analiza własnej duszy bardzo ją pociaga — bezsilna wobec obcych tematów chętnie zabrała by się do pisania o samej sobie. Autorka subtelnych typów kobiecych, zna każdy nieomal zakatek swojej duszy — sądzi ją nieraz błędnie, bo zawsze prawie zbyt czarno, ale, odrzuciwszy tę żałobną zasłonę, mieć będziemy studyum nad własną duszą.

Zewnętrzne życie Narcyzy mało było zajmujące. Szare, bezbarwne, nie opromienione blaskiem miłości, bez wielkich wypadków snuje się jednostajnie, przewlekle. Ale obok niej płynie życie narodu. Czasem nieśmiałe, budzące się po klęskach listopadowych, budzące się pod hasłem nauki, piękna, zapału. A gdy już potem zbyt ze swych brzegów wychodzi, gdy grożą mu sztuczne brzegi, ucieka, chowa się pod ziemią — tam traci swą siłę, swój rozpęd — i znów na zewnątrz się wydobędzie, by płynąć leniwie, sennie — spowite w mgły apatyi czy niedołęstwa. — Ocknie się znowu by, choć słabe i bezsilne bić o każdą zaporę, łamać i kruszyć, miast omijać przeszkody. W końcu zmęczone na dzień dzisiejszy samo sobie zbuduje okowy i złoży przysięgę, że nie pokusi się szukania nowych swobodnych dróg, tylko stare będzie się starać ulepszyć, pogłębiać.

Narcyza przechodzi zapatrzona w nurty narodowego życia. Każde drgnienie fal, każdy powiew wichru co o nie uderzy, odbije się echem w jej duszy. Nie stanie się w narodzie nic, czegoby nie odczuła, nie kochała lub nienawidziła. Obojętną nie zostanie nigdy.

Dlatego jej listy pełne są tego co dzień każdy przynosi i tak gorąco wszystko czuje, że dziś fakty, które stały się już martwą literą historyi, do których pamięć, nie dusza wraca, nabierają świeżej barwy. Im dalej w lata, tembardziej żywo odczuwa Gabryella narodowe i ogólno-ludzkie bóle. Taka wojna 70 r.! Gdy czytamy krótkie o niej wzmianki i wykrzykniki, czujemy dobrze to, co i dziś odczuwamy.

Ogromna różnorodność tematów. Rzeczywiście nic ludzkiego obcem jej nie było. Obok spraw politycznych i społecznych, kwestye naukowe, zagadnienia literackie — to jedna dziedzina jej odczuć, a druga to serdeczna miłość do rodziny i powinowatych z wyboru, to ubolewanie nad ich troskami i kłopotami, radość ich radością, łzy ich podzielone.

Fizyognomia człowieka, nawet jego zewnętrzny układ różni się od tego zależnie do kogo mówi. Słowa, jak te bilety Mickiewicza, zastosowane być muszą do ludzi i treść ich układać się będzie inaczej. Listy Narcyzy, prócz swych nieodłącznych właściwości, mają pewne rysy charakterystyczne, zależne od osób, do których mówi. Dlatego korespodencya z nią musiała być bardzo miła, bo każdego rozumie, wie czem kogo zająć, jak się do kogo uśmiechnąć. Skala odczucia innych, w tej duszy tak silnie indywidualnej, ogromna, to zróżniczkowanie się najwięcej uderza

w późniejszych latach. Młodość jest zawsze do pewnego stopnia bezwzględną i swe własne piętno lubi narzucać innym. Zrównoważona Narcyza zapomnieć umie o sobie i potrafi mówić z każdym o tem, co jemu drogie i miłe. Będziemy mieli traktaty o kwestyach społecznych do Seweryna Markiewicza, pedagogiczne rozprawy z Julią, kronikę rodzinnych wypadków przyszle Mii, i dyskusye literackie będzie prowadzić z Ellą, debatować nad użytecznością maszyn parowych z Kisielnicką. A każdy taki list, bez względu na temat poruszany„ ożywić potrafi wspomnieniem chwil wspólnie spędzonych, dodać mu wdzięku drobiazgami, które za serca chwytają; słowem miłem, serdecznem ucałować, jak pieszczotą. W tej ogromnej ilości listów, każdy ma swą odrębną fizyognomię, każdy ma jakąś świeżość, nowość, która rozlewa się w potokach uczuć, w ciągłej tęsknocie, w ostrych słowach buntu, w zjadliwym sarkazmie czasów lubelskich, w subtelnej ironii ostatnich lat. Gabryella patrzy na wszystko własnemi oczyma, które patrzeć umieją i przenikać ludzi do głębi potrafią. Dlatego najprostszy fakt, chociażby nieskończona powódź rodzinnych wypadków, chrzcin, ślubów czy pogrzebów, wszystko występuje w specyalnem oświetleniu, o każdym umie coś nowego powiedzieć. Umiała ona płakać, lecz w młodości swej bardzo też lubiła się śmiać. Mnóstwo trafnych obserwacyi, bystrych spostrzeżeń znaleźć u niej możemy, dowcipnych żarcików i nieco złośliwych charakterystyk nie brak. Narcyza miała wszelkie dane po temu, by pisać dobrze listy, gdyż zajmują ją bardzo ludzie, obserwuje wciąż przejawy dusz cudzych, bada własną. Człowiek pociąga ją więcej niż sztuka czy przyroda, zarówno w literaturze, jak i w życiu.

W czasach, gdy/wypowiadała się w swych utworach, listów jest mniej, mają one więcej charakteru osobistego — są krótsze, rzucone jakby na prędce, jako ciąg dalszy rozmowy, przypomnienie. Lecz gdy fantazya autorki się wyczerpała, gdy pisać dla wszystkich jest jej trudno, a często nie ma im co mówić, — umysł jej chłonie więcej wrażenia zewnętrznego świata i lubi nad niem dumać razem z innymi.

Listy z lat młodych to przeważnie korespondencya z rodziną i przyjaciółkami, rówieśnicami — potem zaś utrzymując o ile się dało dawne węzły, nawiązuje Narcyza nowe. I rzecz dziwna, stara schorowana, „zniedołężniałą“, jak siebie na każdym kroku nazywa, kobietę, otaczają serdeczną sympatyą ludzie młodzi, i ona widząc w nich wskrzeszenie własnej młodości, potrafi się do nich zasto-

sować, dotrzymać kroku w wędrówkach ich ducha, śmiałością poglądów zawsze im sprosta.

Narcyza świetnie włada formą swych listów, słowa rzucane nieraz z pośpiechem, pod groźbą odjeżdżającej „okazyi" mają skończoną formę artystyczną. Przyznaje się, że wiele jej dzieł stało się pastwą płomieni — widocznie nie zadowalały ją pod względem treści, bo zdaje się każde słowo, co z pod jej pióra wychodzi, ma swój kształt skończony, oryginalny. Listy mają niekiedy charakter powieści ujętej w tę formę. Bogactwo porównań, zawsze trafnych, zawsze pięknych, jędrność stylu, subtelność wypowiedzenia, to są cechy autorki „Poganki" bez względu na to, czy będzie opowiadać dzieje cudze, czy rzucać fragmenty własnych przeżyć. Styl Gabryelli jest może za piękny do codziennego użytku, ale jest jej tak specyalną własnością, tworzy tak nierozłączną całość z jej duszą pełną ognia i porywów, tęsknot i buntów, że nie moglibyśmy sobie wyobrazić tych myśli w innej formie wypowiedzianych. I tu z latami zmiana: entuzyazm, wybuchowość, ustępują miejsce subtelnej, delikatnej jak stara koronka, ironii, wieczny protest przeistacza się w melancholię, uczucia tracą na barwie i sile wyrażenia, na swej mocy, występują w bledszych, bardziej przyćmionych tonach.

Dzieciństwo Narcyzy i lata jej młodociane spędzone na pensyi, mamy tylko w pryzmacie wspomnień. Natomiast z pamiętnika dobrze poznajemy młodą dziewczynę, wesołą, rwącą się do życia, a za chwilę beznadziejnie smutną i zrozpaczoną. Małą kokietkę, która chce mieć serce nieczułe, a bardzo pragnie miłości, lubi czytać i pisać, a musi zajmować się gospodarstwem i ćwiczyć całemi godzinami na fortepianie. Występuje tu ona z całym aparatem nieodzownych dla wrażliwej duszyczki, dekoracyi. Marzeniami przy świetle księżyca, tęsknotą za bogactwem, projektami na przyszłość coraz to dziwniejszemi: zostanie aktorką, lub wyjdzie zamąż dla pieniędzy. Nie obejdzie się nawet bez zamierzonego samobójstwa, które jak zwykle w takich wypadkach nie dochodzi do skutku. Ta młoda dziewczyna, którą świat otaczający chrzci mianem egzaltowanej, ma coś chwytającego za serce: szczerość — i tej szczerości nigdy się na szczęście nie pozbędzie.

Drugi obraz, który sama maluje, przedstawia Narcyzę w Paryżu. Nie straciła nic ze swej naiwności, tylko pogłębiła wrodzony nie tyle jej wiekowi, co jej wrażliwości pesymizm. Gorąca, namiętna natura zupełnie inaczej świat sobie wyobrażała i pod wpływem tego zawodu rzuca na swe młode oczy czarną zasłonę. Przez

nią tylko patrzy i dowodzi z tą pewnością, jaką się ma tylko w dwudziestu latach, że ludzie są źli, że życie nic nie daje i że ona już nigdy słońca nie ujrzy.

Potem niestety zbyt blado zarysowuje się nam Narcyza-Gabryella w swej najpiękniejszej fazie. Entuzyastka szybko ustępuje miejsce filantropce, działaczce społecznej, która chce się poświęcić dla dobra sprawy i ojczyzny, choć boleje nad tem, że nie ma bezgranicznej wiary w prawdę ruchu.

Do najpiękniejszych obrazów duszy poetki należy ten, który możemy sobie stworzyć, zbierając rysy drobne rozrzucone w listach epoki więziennej. Uduchowiona, mistycyzmem przejęta, ma w sobie piękno dobrowolnej ofiarniczki, — silna i niezłomna w oczach swych ciemięzców chce uosobić całą Polskę cierpiącą i czyni to z godnością.

Szare, bezbarwne są lata pobytu w Lublinie, dni trosk codziennych pełne, cudzych łez i żalów. Mówi o swej apatyi, o tem, że nic nie czuje i nic ją nie boli. Ale to nie przeszkadza, by serce łkało wciąż cicho.

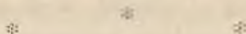
Jesień życia, spędzona w Warszawie przed powstaniem, ma złudne uśmiechy wiosny. Obok niej stają znów „bracia orły". otacza ją wieniec serc młodych, które swe pragnienia dziewczęce podnoszą ku prawdzie i pięknu jej słów, jak kwiaty kielichy swe ku słońcu.

Powstanie było ciosem dla Narcyzy, bolała ją własna niewiara wobec ufności innych, a później bardziej jeszcze, poczucie, że właśnie ona sie nie myliła.

Ogarnia ją chęć zapomnienia, oszołomienia się, szuka go w martwych, bezdusznych nieraz i bezmyślnych literach. Ale to co miało być jedynie haszyszem. stało się nowym, silnym pokarmem. Książka traktowana w ten sposób. pociągać ją coraz więcej zaczęła, od powieści przeszła do pism peryodycznych. a potem zechciała poznać nowe ruchy umysłowe. Z biegiem czasu przyszła do wniosku. że nauka oparta na podstawach przyrodniczych, to jedyna niezawodna prawda. Narcyza. która niegdyś rzuciła hasło: „Rozum, nauki, co mi do tego? Ja kochać pragnę więcej jak drudzy". według słów własnych stała się pozytywistką. Idzie przez życie z tem złudzeniem, potykając się na każdym kroku o ideały lat młodych. Choć zaś lubiła nowe. duszy od dawnych oderwać nie może. W tem szamotaniu się zgubiła zupełnie wiarę w siebie, w moc swej twórczości.

Dopiero parę lat przed śmiercią budzi się z letargu, nie już ta dawna świetna, pełna niespodzianek, ognia i barw — autorka „Poganki“ — ale pożyteczna pracownica, tłumaczka Macaulay'a, rozumna wydawczyni Hofmanowej. Coś w niej jest jednak gorączkowego, jakby powetować chciała lata milczenia, jakby przeczuwała, że brak jej czasu. Śmierć zaskoczyła ją w trudzie i znoju — przyjęła ją cicho, pogodnie, z uśmiechem, pod którym ukrywały się katusze cierpień fizycznych.

Przecież tak trzeba powitać „najpiękniejszy dzień życia“.



Dwa pierwsze tomy listów Narcyzy wyszły w 1885 r., trzeci przy wznowionem wydaniu w 1906 r. Wydawca opatrzył je wstępem bardzo rozległym, co do rozmiarów, bardzo mało jednak rzucającym światła na osobę poetki i jej dzieła. A miał wszelkie dane po temu, by rozświetlić pewne niejasne punkta, znał bowiem Żmichowską i widocznie od osób najbliższych jej zasięgał wiadomości. Powodowała nim jednak niezrozumiała dyskrecya, która nie pozwalała mu nawet podawać w odsyłaczach nazwisk osób wymienionych w liście. Musimy się nieraz gubić w domysłach i wahać się, czy mowa o tej czy owej przyjaciółce Gabryelli. Te braki kłaść trzeba chyba na karb dyskrecyi, bo inaczej musielibyśmy mówić o złej woli lub niedbałości wydawcy. Nie brak mu bowiem nawet drobiazgowych wiadomości, odnoszących się do poetki. n. p. jakie książki zamieniały ze sobą panie na wsi, że Narcyza dostała właśnie „Châtiments“ V. Hugo od Elli, ale kto jest ta Ella, powiernica lat ostatnich, możemy się dowiedzieć tylko na podstawie własnych badań.

U nas jednak tuła się wiele przesądów aby nie mówić o ludziach żyjących. Krytyka francuska dawno się ich wyzbyła i nie zawsze można powiedzieć, że tylko element plotkarski na tem zyskuje. Nie o to przecież chodzi, by zadowolić ciekawość takiego „badacza“, który „chodzi jakby struty, bo niewie jaki szewc robił Słowackiemu buty“, ale nieraz drobne szczegóły są bardzo charakterystyczne i rzucają światło na daną postać.

Listy Żmichowskiej są podzielone według osób, do których pisała i ujęte w ramy chronologii. W tych ramach jednak ułożone są bez planu. Wątpliwe, rzucone na chybił trafił; wydawca nie wyjaśnia czy brak daty nie jest spowodowany jakąś przyczyną zewnętrzną, n. p. uszkodzeniem (184?).

Wogóle komentarzy mamy tu bardzo mało, w chaosie osób musimy się oryentować sami, w labiryncie wędrówek Gabryelli po kraju, nie mamy żadnej nici przewodniej.

Wydawca tłumaczy się w ten sposób: [1]) „Nazwiska i objaśnienia ważniejsze w przypisach są dawane o tyle, o ile względy bezpieczeństwa osób jeszcze żyjących lub wyraźne życzenie rodzin korespondentów na to pozwoliły“. Jednak nie mamy wrażenia, by jedynie temi względami kierował się wydawca; wogóle raczej uderza pewna niedbałość, czy nieudolność wydawnictwa, niż pietyzm dla poetki, względy dla jej przyjaciół. Wydawca znał Narcyzę, lub w każdym razie stał bardzo blisko jej grona, — tem większy mamy żal do niego, że nie dał nam cennych wskazówek, objaśnień. Komentarze zabijają nieraz dzieło, przytłaczając je swoją drobiazgową nudą, ale zarazem można w nich znaleść pewne drogowskazy, one odsłaniają nam człowieka w jego błahych na pozór, a tak charakterystycznych przejawach.

Tom pierwszy zawiera listy do brata Erazma (1838—68), listy do entuzyastek (1852—74) i listy do Mii (siostrzenica poetki) (1852—74) opatrzony jest wstępem i przypisami, w których znajduje się kilka niedrukowanych lub mało znanych wierszy Gabryelli.

Drugi tom obejmuje korespondencyę Żmichowskiej z młodymi przyjaciółmi Henrykiem (Krajewskim) [2]), Sewerynem (Markiewiczem). Julią (z Bąkowskich Baranowską) i ciekawą wymianę myśli z Ellą (Izabella Zbigniewska), w przypisach znów kilka wierszy Narcyzy lub do Narcyzy.

Trzeci tom to korespondencya z Anną Kisielnicką, zamykająca długi okres życia poetki (1843—76), listy do Bibianny Moraczewskiej (1843—61 i jeden z 76 r.), dają ciekawy obraz tej kobiety, tak odrębnej od Narcyzy. Z okresu pozytywistycznego datuje się korespondencya z Matyldą (Okrętową).

Co do wstępu, to St. Tarnowski mógłby słusznie o nim powiedzieć, że mówi się w nim o „wszystkich rzeczach i niektórych jeszcze“, najmniej jednak o tem, co leży w jego zakresie.

By poznać działalność Gabryelli nie trzeba zaczynać od charakterystyki kobiety słowiańskiej, rozwodzić się nad świętą Kingą i matką królów, powtarzać znane anegdotki o Maryi Leszczyńskiej.

---

[1]) Listy, t. I. str. 3.

[2]) Wydawca podaje tylko imiona korespondentów i korespondentek Narcyzy.

by zatrzymać się w końcu na Hofmanowej, jako tej, która torowała drogi nowe. W powodzi dysertacyi różnych giną nieraz cenne przyczynki do działalności i życia poetki.

Wydane przez Henryka Kopię listy z epoki więziennej, są zaopatrzone odpowiedniemi objaśnieniami, które w danym wypadku były o wiele trudniejsze, gdyż przy korespondencyi nielegalnej trzeba było zacierać za sobą i bliskimi wszystkie ślady, na wypadek gdyby taki list wpadł w niepowołane ręce.

Rozporządzamy jeszcze jednym materyałem i to bardzo ciekawym, bo pamiętnikiem Żmichowskiej. Pisała go po ukończeniu nauk — bawiąc na wsi u krewnych. Obejmuje on z przerwami lata 1835 (12 marca), 1837 (3 stycznia), wydany przez Marrené Morzkowską w 1886 r. w tygodniowem piśmie kobiecem „Świt“. Szkoda tylko, że zaprowadzone zostały pewne zmiany. Wychowanka instytutu dla kobiet używa bardzo często języka francuskiego, wtrąca całe zdania, niektóre ustępy pisze po francusku. W tej formie powstały listy do Ludwiki Michałowskiej, które wszyła do swego zeszytu, nie mając sposobności, by je oddać przyjaciółce, a bojąc się powierzać „niepewnej poczcie lub niepewniejszej jeszcze okazyi“. Jeśli już chodziło o rehabilitowanie młodziutkiej autorki z błędu, który wówczas wszyscy popełniali, przez używanie obcego języka, należało w odsyłaczach dać tekst w jego właściwem brzmieniu.

Pamiętnik ten, jest jedyną próbą Narcyzy powierzania swych smutków i radości samej sobie; później będzie to czynić jedynie pod adresem swych przyjaciół w listach, i w formie mniej bezpośredniej, w swych dziełach.

AURELIA WYLEŻYŃSKA.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dramat w polskiej twórczości ludowej.

CZĘŚĆ DRUGA.

Żywioł dramatyczny w twórczości ludowej.

(Ciąg dalszy).

W „Pieśni o starej kowalce“ [1]) spotykamy ten wątek: Stara żona kowala kocha się w urodziwym czeladniku. Gdy kowal cały dzień pracuje, ona umizga się do chłopca. Aż raz namawia go, by zabił jej męża. Zaślepiony chłopiec spełnia jej życzenia, lecz ta niedługo cieszyła się swym chłopcem, bo przyszli strażnicy i wzięli mordercę do więzienia. A kowalowa została sama z dziewięciorgiem dzieci.

Jedno znów z podań żmudzkich opowiada o starym gospodarzu, który ożenił się z młodą żoną. Ta poczęła się oglądać za kochankiem, aż stał się nim młody kapłan pogański. Ten, chcąc się pozbyć starego męża, począł przed księciem knuć zdradę na niego, skutkiem czego książę kazał starcowi wykonywać różne prace. Polecił mu wreszcie uczynić coś takiego, z czegoby książę musiał śmiać się do rozpuku. Stary Krigragis schował się raz pod łóżko i czekał na parę kochanków, która weszła do tego pokoju, nie spodziewając się świadka. Wtedy stary cudowną laską tak zaklął oboje kochanków, że w najkomiczniejszej pozycyi mógł ich pokazać księciu.[2])

---

[1]) Wisła, t. IX.

[2]) Biblioteka Wisły, t. XIII. Podania żmudzkie, przekł. Dowoyna-Sylwestrowicz.

W innym temacie jest mowa o niezbyt pięknym panu, który ożenił się z młodą żoną. Ale ta wolała przystojnego furmana niż męża. Zatem mąż raz wyjechał z domu i wziął ze sobą owego furmana, a po drodze zastrzelił go i schował w lesie przykrywszy gałęźmi. Gdy wrócił do domu, na pytanie żony odpowiedział, że furman uciekł mu po drodze, tak, iż musiał nająć nowego. I znów niedługo wyjechał. Wtenczas żona ze służącą pojechała śladem pana i odnalazła trupa. Odwiozła go do domu i kazała z głowy jego uczynić szklankę kościaną, z rąk dwa lichtarze, z kości nożnych krzesło, a sadło jego przetopić na świece. Gdy pan wrócił, pytał żonę, co słychać nowego. Wtedy ona mówi, iż chciałaby, aby on zaprosił dużo gości i znajomych. Tak się stało. W tłumie gości stawia pani mężowi zagadkę, którą jeśli zgadnie, to może ją kazać stracić, a jeśli nie, to ona go każe zabić. Zagadka brzmiała: „Miły mnie świeci, z miłego piję, na miłym siedzę i na miłym śpię.“ Mąż prosi o dwie godziny namysłu, a tymczasem pokojówka pani, która podsłuchała wszystko, zdradziła panu zagadkę, a ten przed gośćmi odkrył całą prawdę. Gdy poszedł po miecz, żona sama przebiła się nożem.[1])

Okrucieństwa wiarołomnej żony spotykamy w następującej osnowie: Do Kasi, której mąż wyjechał, przyjeżdża w słotną noc kochanek jej Jaś i nocuje u niej. Potem jeszcze drugą noc spędzają razem. A gdy mąż powraca, podaje mu Kasia czaszę z trucizną; lecz mąż dojrzał dziwne pomieszanie żony i kazał jej wypić napój. Ta pije i pada niemal martwa. Przyszedłszy jednak nieco do siebie, biegnie do znanej wiedźmy i prosi, by ją od działania tej trucizny wybawiła. Ta każe jej syna oddać, a wtedy przez zaklęcie wyratowała Kasię od śmierci i ożywiła ją kroplą krwi jej syna. Potem dała jej radę, by mężowi wlała truciznę do ucha (Hamlet), a następnie wyszła za Janka, a gdy będzie jego żoną, by czekała na bogatego przechodnia, a po raz trzeci zamężna, będzie księżną. Tak się stało. Kasia po zamordowaniu męża, wyszła zamąż za Jasia. Lecz w parę tygodni po ślubie, zjawia się bogaty pan w chacie Jasia i prosi o nocleg. Zwolna poczyna pieścić i całować piękną Kasię i namawia ją, aby gdy noc nastanie, a on spać będzie w stodole, ona przyszła do niego i pojadą razem do jego domu.

---

[1]) Wisła, t. V., str. 143.

Po cichu w noc wstaje żona, a nożem uzbrojona mija uśpionego męża, a gdy ten nagle się obudza, wbija mu nóż w pierś. Zaczem na dwór wypada, a wsiadłszy na koń, z panem umyka. W tej jeździe przekonywa się, że pan, to duch jej pierwszego męża, co każe jej teraz wiecznie gnać nocą i nie ujrzeć słonca.[1])

§ 43. *c)* Widzimy w tych obrazach pełen grozy splot namiętności w duszach ludzkich, które dążąc do zaspokojenia swych nizkich pragnień, są zmuszone popełnić czyn zbrodniczy, niby ostatnią przeszkodę pokonać, jako tamę do upragnionego szczęścia. Lecz czyn popełniony pociąga za sobą konsekwenkcye, następują konflikty między zmysłowym a moralnym światopoglądem, a w finale czeka bohaterów śmierć, jako zwycięstwo idei etycznej, jako moralne zadowolenie i zadośćuczynienie, za ich pragnienia ponad miarę, za ten huragan namiętności, który ich porwał w swe odmęty i w wir zatraty.

Jeśli była powyżej mowa o tragiźmie typowo-ludzkiem, jest i w charakterach tu występujących cecha typowa. To ten zbrodniczy pierwiastek skłonności do grzechu i wiarołomstwa, choćby za cenę zbrodni, wspólny czy Klitemnestrze, czy naszej kowalce, lub Kasi mężobójczyni. Tkwi ten zawiązek złego w duszach bohaterów, a przez właściwości otaczających stosunków dojrzewa w szybkim rozwoju i staje się jedynym motorem ich działania.

Tak oto czerw ohydnej zazdrości tkwi w duszy jednego z bohaterów dramatu o tym motywie, który spotykamy w naszym materyale.

Żyją w zgodzie na dwu zamkach dwaj bracia, urodziwi i do siebie podobni, spędzając czas na zabawach, biesiadach, polowaniach rycerskich. Posiadali oni skarby ogromne i te składali w podziemnych lochach, które łączyły oba zamki, a straż nad nimi miała czarownica wraz z swym czarnym psem. Miłość braterska przerwała się na czas jakiś, gdy jeden z nich wyjechał w dalekie kraje. Gdy wrócił, przywiózł z sobą cudną księżniczkę. Brat jego oniemiał, gdy wyszedłszy na spotkanie, ujrzał jej modre oczy. W mężu podziw brata obudził gniew, nienawiść i zazdrość. Niepewny jej miłości, wtrącił ją do podziemnego lochu pod dozór okrutnej czarownicy. Niedola pięknej księżniczki obudziła litość drugiego brata. Umiał podejść i przekupić straż, i o północy, gdy

---

[1]) Pieśni ludu nadniemeńskiego. Zebrał i przełożył Karol M. Brzozowski. Poznań 1844, str. 95.

czarownica odlatywała na Łysą górę, spuścił się do lochu nieszczęśliwej, niosąc jej słowa pociechy. Najmniejszy szmer wśród nocy bezsennych budził obawę i podsycał zazdrość w mężu. W noc jedną usłyszał w podziemiu głośne warczenie psa. Pędzi więc do podziemia i w objęciach uroczej księżniczki ujrzał brata.

Z wściekłością dobył miecza i zabił go. Od tej chwili bratobójca, dręczony wyrzutami sumienia, chciał w biesiadach znaleźć ukojenie. Wśród uczty, trunkiem odurzonego zabił piorun. Piękna księżniczka, dostawszy obłędu, przebywa pod strażą czarownicy i psa przy skarbach zamkowych.[1])

W postaci zazdrosnego męża widzimy tkwiący ów zalążek złego. Nizkie uczucie zazdrości wypływa z cech jego charakteru, jest właściwością jego duszy i w niej właśnie kryje się tragiczny zawiązek całej akcyi, która rozwija się odpowiednio tylko dzięki nieludzkiemu czynowi zatrwożonego o swą żonę brata.

Ów brat, kochający żonę nadmiernie i trwożny o jej miłość, jest poniekąd bohaterem tragicznym. Wszak wiemy, iż tragizm jest to proces rozwojowy: z niebezpiecznych zawiązków w charakterach i sytuacyach występują groźne różnice, walki i cierpienia. Jest przytem rzeczą konieczną w pojęciu tragizmu, by występowała tu wybitna osobistość, która ulega cierpieniu, grożącemu upadkiem, lub rzeczywiście porywającemu w przepaść.

Bohater musi nam w tym razie dać odczuć, iż nie należy on do tuzinkowych postaci, lecz że jest to przedstawienie niezwykłej osobistości, budzącej szczególną uwagę, reprezentującej wybitną jakąś właściwość natury ludzkiej. Oczywiście właściwość ta nie może być pośledniego gatunku, ponieważ winno się odnosić wrażenie, iż osoba ta, jako całość wzięta, przedstawia wartość, przewyższającą normalną przeciętność. Ta cecha wybitna danej osoby jest właśnie punktem wyjścia dla owego tragicznego cierpienia, które godzi w daną osobę.[2])

Podanie to pozwala nam się domyślać, że bohater w wysokim stopniu kocha swą piękną księżniczkę-żonę. Ta miłość niezwykła zmienia się w cierpienie, gdy widzi, iż brat jego z podziwem i hołdem zbliża się do jego żony. Psychologia obu braci jest tu zamało zarysowana w ludowej opowieści, iż znów możemy tylko dosnuwać podanie w tym kierunku, że może tamten brat jest urodziwszy, że może uczynił wrażenie tak głębokie na żonie,

---

[1]) Biblioteka Wisły, t. II., str. 308.
[2]) Volkelt, l. c., str. 66.

uwiezie. Tak się stało. Lecz ów kapitan odjechał z wykradzioną dziewczyną do ruin swego zamku, a ów rycerz daremnie na nią czekał. Wreszcie wybrał się z swymi ludźmi do owego zamku, chwyta kapitana, odbiera mu dziewczynę, wiezie do swego zamku, a jego w lochach więzi. Potem godzi się z ojcem dziewczyny i ślub z nią bierze.[1])

Romantyczna ta historya, jakby z epoką rycerzy-rabusiów związana, okazuje obce pochodzenie. Ciekawe są przytem te momenty akcyi: wykradzenie panny i uwiezienie jej do ruin zamku, walka o uwięzioną i t. d. Pełno tu śladów jakichś rycerskich czasów, awanturniczych, a chyba nie swojskich.

---

[1]) Kolberg: Serya XVI. (65) str. 262.

Dr. Adam Brzeg-Piskozub.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR STANISŁAW ROSSOWSKI — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“